

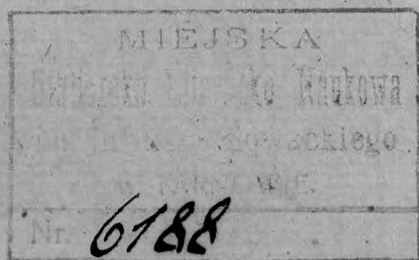
61-85

Nie wolno!

**Pisać po książkach.
Podkreślać.
Zaginać kartek.
Rozcierać tłuszców.
Chlapać atramentem.
Wydzierać kartek.
Niszczyć oprawy.**

Lecz trzeba:

**Książki szanować.
Używać zakładki.
Palców nie ślinić, odwracając kartki.
Obwijać w papier, zwłaszcza podczas słoty.**



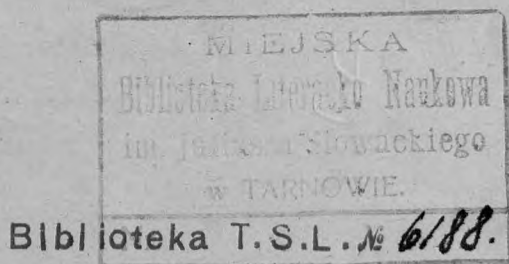


18
Stanisław Kutrzeba

20.3.1918.

Królestwo i Galicya

Uwagi z czasu wojny



WARSZAWA 1917 KRAKÓW
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE
MAZOWIECKA 12, STARE MIASTO II, MARSZAŁKOWSKA 143



JN-1278

94(438),078

943.8.071.073



B

~~3426~~

B-4026

~~178736~~

8816

Czcionkami Drukarni Naukowej.— Stoł. m. Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.
Geprüft und freigegeben Presserverwaltung Warschau 24/V 1917. T. Nr. 5715.
Dr. Nr. 203.

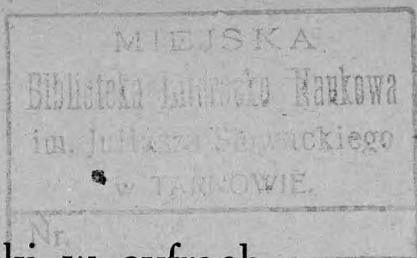
1782 23/92

W książce tej zebrałem artykuły, które drukowałem w pismach w ciągu 1916 i w początkach 1917 roku. Część z nich omawia historyczne kwestye, łączące się z bieżącą chwilą, część porusza kwestye bieżące, zwykłe w historycznem oświetleniu. Do ujęcia ich razem skłoniło mnie to, iż tworzą one pewną całość, a nie straciły na aktualności. Oby mogły się przyczynić choć nieco do lepszego poznania Królestwa przez Galicyę i Galicyi przez Królestwo — to moje gorące życzenie.

Autor.



9
Hind
Hail
1231
T.L.L.



Rozbiory Polski w cyfrach.

Zatraciliśmy już prawie poczucie, jak wielką i potężną była dawna Rzeczpospolita polska, zatraciliśmy poczucie jednności tych olbrzymich obszarów, które sięgały od Warty po Dźwinę i Dniepr. Wracają nam świadomość tego—cyfry, gdy je zwłaszcza porównawczo zestawimy. W cyfrach obszaru i ludności dawnej Polski najłatwiej też uzmysłowić sobie znaczenie podziałów i wzajemny stosunek dzielnic Polski, stworzonych przez rozbiory z lat 1772, 1793 i 1795 i przez późniejsze zmiany granic ziem polskich, które dopiero od r. 1846 ustaliły się tak, jak przetrwały do wybuchu obecnej wojny.

Nie znała Polska dokładnych cyfr wielkości swego terytorium i liczby swej ludności; dopiero za Stanisława Augusta zaczęto liczyć, mniej lub więcej, jednak jeszcze nieudolnie. Nie wiedziały dobrze, ile biorą, państwa rozbiorowe, gdy zagarniały części polskiego obszaru; ks. Kaunitz np. w raporcie do cesarzowej Maryi Teresy podał wielkość ówczesnej Galicji o 500 mil kw., t. j. o jedną trzecią mniejszą, niż była w rzeczywistości. Zaczęto też zaraz mierzyć rozbiorowe działy, liczyć ludność. Pierwsze obliczenia ludności niezawsze dokładne dawały wyniki przy ówczesnej niewydoskonalonej jeszcze technice ludnościowej statystyki; późniejsze spisy umożliwiają jednak poprawę cyfr, zwłaszcza, gdy nie chodzi przy tak dużych sumach o drobnostkową dokładność. Błędne obliczenia powierzchni zajętych terytoriów polskich skorygowały naukowe badania późniejsze—lecz tylko częściowo; nie przeprowadzono ich dotąd dokładnie co do wszystkich kawałków, które od Polski odpadły, a nawet ścisłość zupełna nie będzie nigdy możliwa, gdy ostatni podział tak szybko po drugim nastąpił, że jeszcze jego granice nie mogły być ustalone.

Z temi zastrzeżeniami zestawiam też cyfry obszaru i ludności, najpierw całej Polski, potem rozbiorowych dzielnic według państw, którym w udziale przypadły.

Miała Rzeczpospolita polska przeszło 13.300 mil kw. powierzchni. Z państw europejskich przewyższała ją Rosya, która liczyła prawie 82.000 mil kw., może państwa Habsburgów, nie stanowiące jednak zwartego państwowo i geograficznie teryto-

ryum. Mniejszą była Francya z 9.822 mil kw., toż Hiszpania (9.064 mil kw.), tembardziej Anglia (5.400 mil kw.), czy wielkie Prusy (2.750 mil kw.). Ludność Polski liczyła przeszło 11 milionów; stała więc Polska na czwartem miejscu w Europie, po Rosyi, Francyi i Austryi, z których każde ponad 20 milionów w tym czasie liczyły.

Ale i po pierwszym rozbiore pozostała Polska państwem bardzo znacznem. Wynosiło jej obcięte terytorjum 9.438 mil kw., stało się więc nieco mniejsze od Francyi. Ludność podniosła się przed drugim rozbiorem do przeszło $8\frac{1}{2}$ milionów. Obok Rosyi i Francyi, które liczyły już po 26 milionów, i Austryi, mającej zapewne ponad 20 milionów, przenosiły Polskę: Anglia z $13\frac{3}{4}$ mil. głów i Hiszpania z $10\frac{1}{4}$ milionów; Prusy, gęsto zaludnione, miały przecież tylko $5\frac{1}{2}$ mil.

Tymi to obszarami i tą ludnością podzielili się państwa rozbiorowe.

Przy pierwszym rozbiore państwo pruskie zajęło Prusy Królewskie (dziś Zachodnie), lecz bez Gdańska i Torunia, Warmię i pas ziemi nad Notecią; Austria mniej więcej dzisiejszą Galicyę, t. j. mniejszą o Kraków z obwodem po lewym brzegu Wisły (21 mil kw.), który pozostał wtedy przy Polsce, a większą o obwód zamojski (101 mil. kw.); Rosya dostała północno-wschodnie województwa po Dźwinę i Berezynę, które utworzyły granicę.

Przy drugim i trzecim rozbiore Polski granice Rosyi sięgnęły na zachód bardzo daleko, bo po dzisiejszą granicę wschodnią Królestwa Kongresowego, z jednym wyjątkiem, iż Białystok z obwodem wtedy do tych jej zaborów jeszcze nie należał. Prusom dostały się miasta Gdańsk i Toruń z obwodami, nadto podzieliły się Prusy z Austryą tą przestrzenią, którą zajmuje obecnie Królestwo Kongresowe, z Białymstokiem jednak. Linia, jaka rozdzieliła Prusy od Austryi po trzecim rozbiore, biegła mniej więcej tak, jak dzisiejsza linia, która rozdziela niemiecką i austryacką okupacyę; jednakże Piotrków wtedy przypadł Prusom, zaś Austria sięgnęła po prawym brzegu Wisły dużo dalej, bo zachodziła granicą na północ aż poza Warszawę.

W cyfrach zabory tak się przedstawiają:

Rosya zajęła				mil kw.	ludności
przy	I rozbiore	1772	r.	1693	1,300.000
"	II	"	1793	" 4550	3,000.000
"	III	"	1795	" 2185	1,200.000
				8427	

Prusy

			mil kw.	ludności
przy I rozbiornie	1772 r.		660	580.000
" II "	1793 "		1914	2,000.000
" III "	1795 "			
			<u>2574</u>	

Austria

			mil kw.	ludności
przy I rozbiornie	1772 r.		1509	2,650.000
" II "	1793 "		—	—
" III "	1795 "		866	1,200.000
			<u>2375</u>	

Tak więc przy trzech rozbiornach Rosyi dostało się prawie dwie trzecie, a jeśli się wliczy także lenne państwo Polski, Kurlandę, z obszarem prawie 500 mil kw., którą również wzięła Rosya przy trzecim rozbiornie, to nawet powyżej dwu trzecich ziem dawniej Rzeczypospolitej, jednak najsłabiej zaludnionych. Udziały Prus i Austrii były terytoryalnie mniej więcej równe; udział Austrii, choć mniejszy nieco, za to większą wykazywał ludność. Warto to zaznaczyć, iż wówczas obie Galicje, t. j. wschodnia, jak określono ten dział, który Austrii przypadł przy pierwszym rozbiornie, jak i zachodnia, czyli nowa, t. j. dział Austrii z trzeciego rozbiornu, przedstawiały się jako ziemie najlepiej zaludnione, wogóle najwięcej wartościowe z pośród ziem polskich.

Trzy rozbiory w końcu wieku XVIII nie zamknęły jeszcze okresu krajania Polski. W wieku XIX miały na nowo zmieniać się granice podziałowe w latach: 1807, 1809, 1815 i 1864.

Przyszedeł jako ten, który zaczął łamać postanowienia traktatów rozbiornowych, Napoleon. Wykrajał on z ziem polskich nowe państwo polskie: Księstwo Warszawskie, które miało być początkiem odbudowy Polski. Nadzieje te polskie, które za swoje wreszcie i Napoleon ogłosił przed wojną z Rosją, zasypał potem śnieg rosyjski, zmroziła zima rosyjska 1812 roku.

Księstwo Warszawskie stworzył Napoleon w dwu wojnach: w wojnie z Prusami z r. 1806, zakończonej przez traktaty tyłżyckie z 7 i 9 lipca 1807 r., i w wojnie z Austrią z r. 1809, którą zlikwidował traktat zawarty w Schönbrunn 14 października 1809 r. Z oddanych przez te dwa pobite państwa części dawniej Polski utworzył Napoleon Księstwo Warszawskie. Rosya nie straciła wtedy nic zgoła z tych

ziem polskich, jakie zabrała; przeciwnie, z łaski Napoleona otrzymała ona jeszcze nowe ziem polskich kawałki, gdy w r. 1807 odstąpił jej Napoleon kawałek z ziem zdobytych na Prusach: Białystok z obwodem (160 mil kw., dziś zachodnie powiaty gubernii grodzieńskiej), zaś w r. 1809 dostała od niego jako jego sojuszniczka za pomoc, bardzo zresztą problematycznej natury, kawałek Galicji, mianowicie Tarnopol z obwodem (121 mil kw.), zwrócony Austrii w r. 1815.

Na Księstwo Warszawskie złożyły się Prusy przez oddanie wszystkich ziem, jakie zajęły przy II i III rozbiórce Polski (więc z Toruniem), a nawet kawałka z ziem, zajętych przy pierwszym rozbiórce, a mianowicie części obwodu nadnotecckiego (z wyjątkiem jednak obwodu białostockiego, oddanego Rosji), Austria przez oddanie całego swego udziału z III rozbioru Polski, oraz kawałka ziem, zajętych przy I rozbiórce, mianowicie obwodu zamojskiego (101 mil kw.) i połowy Wieliczki z żupami, które przeszły pod współwładztwo Austrii i Księstwa Warszawskiego.

Tak więc powstało Księstwo Warszawskie z ziem, zabranych Polsce przez Austrię i Prusy przy drugim i trzecim rozbiórce (z wyjątkiem obwodu białostockiego i Gdańska, z którego utworzył Napoleon w r. 1807 wolne miasto), i z kawałeczków tych ziem, które im przypadły przy pierwszym rozbiórce; przeważna część ziem, które te dwa państwa zajęły przy pierwszym rozbiórce, t. j. Prusy zachodnie, Warmia i Galicja, pozostały przy nich i nadal.

Księstwo Warszawskie, tak jak ono przedstawiało się po roku 1809, to największy twór samodzielny państwowo polski, jaki powstał na ziemiach polskich po rozbiorach. Miało ono prawie 3.000 mil kw. przestrzeni, a ludności liczyło do 4 milionów. Królestwo Kongresowe w dzisiejszych granicach jest od niego o dużo mniejsze. Na Kongresie bowiem Wiedeńskim z r. 1815 dokonano znowu rozbioru — tym razem rozbioru Księstwa Warszawskiego.

Kongres Wiedeński z r. 1815 podzielił Księstwo Warszawskie na trzy części:

1) Królestwo Polskie, mające obszaru 2.312 mil kw., z ludnością nie dochodzącą do 3 milionów, utworzyło nowe samodzielne państwo polskie, złączone unią osobistą z Rosją pod berłem carów rosyjskich. Z Księstwa Warszawskiego dostało Królestwo więc tylko mniej więcej $\frac{3}{4}$ ziemi i ludności.

2) Wolne miasto Kraków z okręgiem, mające ob-

szażu 21 mil kw., z ludnością 95.000, utworzyło również samodzielne państewko z organizacją republikańską, pod opieką trzech dworów: Rosyi, Austrii i Prus.

3) Wielkie Księstwo Poznańskie, obszaru 605 mil kw., z ludnością koło 850.000, zostało oddane Prusom. Według traktatów wiedeńskich miało ono całe tworzyć odrębną jednostkę prawno-państwową w państwie pruskiem, z zastrzeżeniami przez kongres prawami Polaków. Jednakże wbrew traktatom z r. 1815 zaraz w tymże roku oddzielono od Wielkiego Księstwa powiaty: chełmiński i michałowski oraz miasto Toruń z okolicą i włączono do prowincyi Prus zachodnich.

Po roku 1815 już tylko jedną w granicach ziem polskich przeprowadzono zmianę; w r. 1846 włączono wolne miasto Kraków do Galicyi.

W ten sposób Rosya w XIX wieku swoje posiadłości polskie jeszcze powiększyła. Gdy — po usunięciu odrębności Królestwa Polskiego — jako do niej należy zaliczyła i obszar Królestwa, objęła ona $\frac{4}{5}$ obszaru dawnej Rzeczypospolitej (nie licząc Kurlandyi). Pozostała $\frac{1}{5}$ dostała się Austrii (1.425 mil kw.) i Prusom (1.047 mil kw.). Na Królestwo Polskie Kongresowe przypadła mniej więcej $\frac{1}{6}$ powierzchni dawnej Rzeczypospolitej, na Galicyę nieco ponad $\frac{1}{10}$.

Stosunki jednak ludnościowe przesunęły ciężar gatunkowy dzielnic nieco inaczej. W roku 1815 na obszarach dawnej Polski żyło koło 16 milionów ludności, z tego na Litwie i Rusi koło 8 milionów, pod rządem pruskim przeszło $1\frac{1}{2}$ miliona (w czym $\frac{1}{3}$ Niemców), w Królestwie prawie 3 miliony, w Galicyi $3\frac{1}{2}$ miliona. Gęstością zaludnienia różniła się więc dużo wówczas Galicya nad Królestwem, prawda, że z ludnością nie tak wyłącznie polską, jak w Królestwie. Dopiero w połowie wieku XIX ludność Królestwa zrównała się z ludnością Galicyi.

Warto dla przeglądu zestawzić ludność tych ziem polskich przed wojną, według obliczeń z r. 1910: Litwa i Ruś 25 milionów;— Królestwo Polskie $12\frac{1}{2}$ miliona;— Galicya 8 milionów;— Poznańskie i Prusy Zachodnie $3\frac{4}{5}$ miliona.

Stanowisko prawno-państwowe dzielnic Polski od 1815 do 1914 r.

Pokrajane w kawałki przez trzy rozbiory ziemie polskie wcielone zostały w skład państw rozbiorowych. Traktaty rozbiorowe nie postanawiały zgoła nic o tem, jaki ma być dalszy los prawny tych kawałków, jakie będzie tych dzielnic prawno-państwowe stanowisko w stosunku do innych ziem, podległych berłu Habsburgów, Hohenzollernów, czy Romanowych. Nie było więc żadnych gwarancyi co do łączności tych odłamów polskich w przyszłości; nowi ich władcy mogli je traktować jako integralne części składowe swoich państw, do których zostały wcielone, jako więc tych państw zwykłe prowincye.

Tak też i stało się zarówno w Prusiech, jak w Rosyi. Prusy z nabytków polskich utworzyły prowincye: Prusy Zachodnie, Prusy południowe (Südpreussen) z Poznaniem, Kaliszem i Warszawą, Prusy Nowo-wschodnie (Neu-Ostpreussen) z Płockiem i Białymstokiem, oraz drobny Nowy Śląsk (Neu-Schlesien), nie mający w pełni charakteru prowincyi. Rosya wykrawała coraz to inaczej gubernie na przyłączonym obszarze. Tylko Galicya zachowała silniej wyodrębnione w monarchii Habsburgów stanowisko zarówno z tego względu, iż geograficznie tak słabo zresztą była wlepiona przez wąską granicę od Śląska, jak przedewszystkiem wskutek tego, iż wogóle wówczas jeszcze monarchia Habsburgów przedstawiała konglomerat luźnie z sobą złączonych odrębnych ciał państwowych, nie stopionych w jedną całość.

O ile chodzi zato nie o prawno-państwowe stanowisko tych ziem po rozbiorach, lecz o ich charakter, jako ziem dawnego polskiego państwa, to najsilniej występował on w granicach Rosyi. Rosya najliberalniej postępowała z nowymi poddanymi. Gubernie nowe długo w wiek XIX nazywały się

urzędowo: „zwróconemi od Polski“, pozostały polskie sądy, statut litewski, język polski w pełni pozostał w szkole i sądzie, jak i w sejmikach, które tu zaraz po rozbiorach utworzono w pewnej mierze na wzór polski, oczywiście nie z dawnymi olbrzymimi prawami, a głównie dla wyboru dużej liczby urzędników powiatowych i gubernialnych, częściowo administracyjnych, przeważnie sądowych; ale mogły one i z postulatami zwracać się do cara. Przeciwnie — w dzielnicy zwłaszcza pruskiej, ale wkrótce później (od Józefa II) i austriackiej, w całej pełni wystąpiły dążności germanizacyjne; z urządzeń polskich nie ostało się zgoła nic, tak że z niesłychanym pośpiechem wymieciono pod rządami Prus, nieco wolniej w Galicyi.

Ten stan rzeczy zmieniły wojny z lat 1807, 1809 i 1812. Powstało nowe państwo polskie: Księstwo Warszawskie, stworzone (1807), a potem powiększone (1809) przez Napoleona z ziem polskich, które zdobył na Prusach i Austrii — więc z jego wyłącznie woli, bez udziału jakiegos kongresu, ale po odstąpieniu mu tych ziem przez pokonane państwa. Po kilku latach państwo to runęło; na nowo trzeba było porządkować sprawę polską; tym razem uporządkowano ją na kongresie przez traktaty, zawarte w Wiedniu między Austrią, Rosyą i Prusami, którym ziemie polskie przypadły, a następnie przyjęte i potwierdzone przez inne państwa, które na kongresie miały głos stanowczy, jak Anglia, Francya i t. d.

W traktatach wiedeńskich, w przeciwieństwie do traktatów rozbiorowych z końca XVIII wieku, określono stanowisko prawne ziem dawniej polskich; na władców więc, którym dostały się polskie ziemie, nałożono zobowiązania prawne, mające zatem charakter zobowiązań z zakresu prawa narodów, zobowiązania, które nie tylko oni wobec siebie przyjęli, lecz które ich wiązały wobec innych państw sygnatarnych z Kongresu Wiedeńskiego. Stąd to późniejsze odwoływania się — zwłaszcza w czasie powstań z 1831 i 1863 r. — do Anglii lub Francyi, stąd to prawna podstawa tych państw do mieszania się w te kwestye, do interwencji w Petersburgu. Że te interwencye bez skutku były, nie brak prawa tego był powodem, lecz brak chęci tych państw, zwłaszcza największych, najsilniejszych, Anglii i Francyi, by z prawa skorzystać w całej pełni, by też to prawo swoje w razie oporu urzeczywistnić w ten jedyny sposób, którego skuteczność jest pewna w prawie narodów — przez odpowiedni nacisk siły, więc w ostateczności przez wojnę.

Te postanowienia Kongresu Wiedeńskiego miały do wybuchu wojny jeszcze moc i znaczenie, jako ostatnie, nie zniesione (z wyjątkiem co do Krakowa) żadnymi późniejszymi aktami, układy międzynarodowe, ziem polskich się tyčące; dopiero obecna wojna przedarła je i zniweczyła. Kongres to z 1815 r. wykreślił te granice między państwami rozbiórczemi, które ostały się do wybuchu obecnej wojny, z tym jednym wyjątkiem, iż utworzoną wówczas Rzeczpospolitą krakowską włączono w r. 1846 do Austrii.

Nie znaczy to jednak, że postanowienia kongresu były dotrzymane; wiemy o tem dobrze. Obecnie nietylko ze zwykłej ciekawości historycznej warto przypatrzeć się kongresowym postanowieniom, jak one brzmiały, a jak w praktyce zostały przeprowadzone.

* * *

Traktaty wiedeńskie z r. 1815 odróżniały co do stanowiska prawnego utworzone przez kongres Królestwo Polskie od innych ziem dawnej Polski.

Władzę królewską w Królestwie Polskiem oddały traktaty carowi Rosyi, Aleksandrowi I, i jego następcom na tronie rosyjskim, mającym używać tytułu królów polskich (jak tekst mówi, tytułu: „czar, roi de Pologne”). To Królestwo Polskie miało być: 1) nieodwołalnie złączone (*irrevocablement lié*) przez swoją konstytucyę z Rosją, 2) posiadać odrębną administracyę (*une administration distincte*), a mogło 3) załeżnie od woli władcy otrzymać rozciągłość, jaką on uzna za stosowną dla niego. To niejasne wyrażenie było w łączności z planami Aleksandra I, by do Królestwa przyłączyć zachodnie gubernie Litwy i Rusi po Dźwinę i Dniepr (z wykluczeniem więc tych, które dostały się Rosyi już przy pierwszym rozbiórze).

We wszystkich innych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej Polskiej mieli Polacy, pozostając poddanymi Rosyi, Austrii czy Prus, otrzymać reprezentacye i instytucye narodowe (*une représentation et des institutions nationales*), a to stosownie do sposobu życia publicznego (*reglées par le mode d'existence politique*), który uzna każdy z rządów za pożyteczny i odpowiedni (*utile et convenable*) dla nich. Nadto obszar dawnych krajów polskich miał stanowić jedność gospodarczą; dawne polskie kraje nie miały być oddzielone od siebie ćiłami.

Takie były prawne postanowienia kongresu. Ramy te miała wypełnić treść życia. Różnie to zrobiono—a dalszy bieg życia ulegał silnym, bardzo silnym zmianom. Częściowo wo-

góle nie zostały wypełnione te postanowienia, częściowo zaś tylko w pewnej mierze, i to bardzo nieszczerze oznaczonej. Do dziś z tych postanowień zostało się bardzo niewiele, ledwie jakieś strzępki. Rozwój szedł w różnych dzielnicach Polski różnymi drogami; z osobna też o każdej z nich trzeba mówić. Ta jedna tylko wspólna uwaga: postanowienia o gospodarczej łączności ziem polskich pozostały zgoła martwą literą. Granice celne utrzymały się, jak istniały przedtem, lub nowe przeprowadzono, gdzie ich nie było. Jedynie Kraków tworzył wolne handlowe miasto, nie znające granic celnych z żadnej strony dla towarów do niego wwożonych. I to jednak miało zniknąć w r. 1846. Kordony celne zacieśniały się później, coraz bardziej gospodarczo oddalając od siebie polskie ziemie, które przecież geograficznie i gospodarczo taką silną mogłyby tworzyć jedność.

* * *

Postanowienia Kongresu Wiedeńskiego z roku 1815 odróżniły silnie stanowisko prawno-państwowe utworzonego Królestwa Polskiego od stanowiska innych polskich dzielnic. Te dzielnice, tworzące razem $\frac{5}{6}$ dawnej Polski, wchodziły w skład państw porozbiorowych, gdy Królestwo, będące $\frac{1}{6}$ częścią tylko, ale leżące w środku rdzennych obszarów narodowo polskich, utworzyło państwo.

Tak, jak tę kwestyę określiły akty kongresu i konstytucja, nadana Królestwu 27 listopada 1815 r. przez cara-króla Aleksandra I, było to państwo suwerenne, złączone unią z Rosyą. Miało Królestwo wszystkie cechy państwa suwerennego. A więc miało ono: 1) odrębne terytorium, oddzielone od cesarstwa rosyjskiego granicą celną, 2) odrębne obywatelstwo, które można było nabyć tylko w określonych ściśle przez prawo warunkach, a stanowiło warunek piastowania urzędów, wreszcie 3) odrębny jeden najwyższy rząd. Na czele rządu stał namiestnik, który miał stanowisko wicekróla; Królestwo miało pełną władzę ustawodawczą, sprawowaną częściowo przez króla, częściowo przez króla z sejmem, własne władze rządowe, od najniższych do najwyższych, zgoła władzom rosyjskim nie podległe, własne sądy z sądami: najwyższym i apelacyjnym na czele, własny skarb, własne wojsko, w razie małoletniości monarchy własną odrębną regencyę, zasiadającą w stolicy państwa rosyjskiego pod przewodnictwem regenta rosyjskiego. Co do charakteru prawno-państwowego połączenia Królestwa z Rosyą spór jest w nauce, czy to była unia realna, czy tylko personalna. Przez unię personalną rozu-

mie nauka — t. j. przeważająca część uczonych, gdy inni, jak np. słynny Jellinek, nieco inaczej tę kwestyę formułują — taki związek dwu państw, których łączność polega tylko na osobie monarchy, a o unii realnej mówi wtedy, gdy takie połączone państwa mają także wspólne pewne instytucye. Polska z Rosyą w latach 1815 — 1830 nie miała na wewnątrz żadnych wspólnych władz; jednakże brakowało jej osobnego ministra spraw zagranicznych. Konstytucya postanawiała, iż „stosunki polityki zewnętrznej cesarstwa będą wspólne Królestwu Polskiemu”; sprawy więc dyplomatyczne prowadził minister rosyjski, choć w praktyce wiele ich było załatwianych, o ile o Królestwo chodziło i o sprawy zwłaszcza gospodarczej natury w stosunku do państw sąsiednich, przez namiestnika Królestwa. Ci uczeni, którzy na tę wspólność prowadzenia polityki zagranicznej kładą nacisk, uważają unię za realną; zwykle określa się ją jednak jako unię personalną. Zaznaczam to tylko, nie tu miejsce, by tę kwestyę sporną bliżej omawiać.

Po roku 1831 nie straciło Królestwo odrazu charakteru odrębnego państwa; stało się ono tworem przejściowym pomiędzy państwem a prowincyą, „fragmentem państwowym”, jeśli się użyje terminu, który niedawno wprowadził do nauki Jellinek (Staastfragmente). Zasadniczo unormował to stanowisko Królestwa statut organiczny z 26 lutego 1832 r., w praktyce nie w pełni w życie wprowadzony, nawet dowolnie zmieniany. Pozostało odrębne poddaństwo, choć Rosyanom, mającym nieruchomości w Królestwie, pełne przyznano prawa i naodwrot pod tym warunkiem Polakom w Rosyi. Pozostała czas jakiś (do roku 1850) odrębna linia celna, dzieląca Królestwo od Cesarstwa. Pozostać miał odrębny rząd, choć już bez sejmu. Ale usunięto osobną koronacyę na króla polskiego, osobną regencyę, osobną armię, a sprawy wielkiej wagi oraz budżet miały przechodzić przez rosyjską radę państwa. W praktyce następnie znaczne części zarządu państwowego (szkoły, komunikacye pocztę) poddano pod kierunek władz rosyjskich.

Wielopolski (1861—1863) starał się na nowo — z chwilowym skutkiem — o przywrócenie odrębności rządu. Po powstaniu jednak w przeciągu lat niewielu Rosya zniszczyła odrębne urządzenia polskie: w latach 1866 — 1871 usunęła przeważną część władz centralnych administracyjnych, w r. 1876 odrębność sądownictwa, usunęła też język polski w urzędach (1868), szkołach (1869) i sądach (1876), z wyjątkiem gmin i sądów gminnych. Odtąd Królestwo Polskie przekształcone zostało w jedną z prowincyi państwa rosyjskiego; szczątki charakteru państwowego przejawiały się

w tytule króla polskiego, używanym przez cara, w nazwie kraju, którą przecież chciano zastąpić przez nazwę gubernii nadwiślańskich, w zachowanej w pewnej mierze odrębności poddaństwa, choć go już nie określano jako polskie, w nazwie prokuratoryi Królestwa Polskiego, a w stosunkach międzynarodowych—w szyldzie konsulatu austriackiego, który jednak zastąpiono przed dziesiątkiem może lat innym, z napisem, że to—c. i k. konsulat nie w Królestwie, ale: w Warszawie.

Tyle prawnie pozostało z państwowości Królestwa, państwowości jednak silnie wyłobionej w umysłach i sercach mieszkańców tego kraju. Nie pomogły też zaręczenia traktatów r. 1815, że Królestwo przez konstytucję ma być z Rosją połączone, gdy nie chcieli gwaranci przypomnieć sobie, że—dali gwarancję.

*

o

*

Przepisy traktatów wiedeńskich jasno określały stanowisko Królestwa: zato wiotkie były ustępy, które mówiły o innych polskich dzielnicach. Polacy mieli w nich dostać reprezentację narodową i instytucje narodowe, ale stosownie do ustroju państw, w których skład weszły te dzielnice, a to zostawiono ocenie władców tych dzielnic.

Na Litwie i Rusi nie wydano żadnych postanowień, któreby z przepisami traktatów były w związku; Aleksander I ciągle łudził nadzieją, że przeważną część tych obszarów wcieli do Królestwa. Całe stanowisko tych dzielnic przetrwało jednak bez zmiany: pozostały prowincją Rosyi, w której jeszcze czas jakiś szanowano odrębne urzędy i język polski, aż je po powstaniu z r. 1831 w znacznej części, a po powstaniu z r. 1863 do reszty wytepiono.

Do postanowień traktatów wiedeńskich w pełniejszej mierze zastosowały się tylko Prusy. Jednakże stosowały je one tylko do Poznańskiego, nie do Prus królewskich, a zaraz po objęciu dzielnicy wyłączyły z niej powiaty: chełmiński i michałowski wraz z Toruniem i przydzieliły je do Prus Zachodnich, wbrew postanowieniom traktatów, według których cały obszar miał jedną tworzyć całość. Odrazu też Prusy oddzieliły Poznańskie granicą celną od Królestwa, a zniosły granicę celną od reszty państwa. Odrębność Poznańskiego zaznaczały: nazwa Wielkiego Księstwa (nie prowincji), urząd namiestnika, któremu według instrukcyi z r. 1815 przysługiwały królewskie iura honorifica, przybrany w r. 1817 przez króla pruskiego tytuł wielkiego księcia poznańskiego, osobny herb z napisem polskim i niemieckim na pieczęciach, odrębne

sądownictwo, zamknięte w granicach Wielkiego Księstwa z instancją najwyższą w Poznaniu, odrębny sejm prowincjonalny, utworzony w r. 1824, współdziałający bezpośrednio z monarchą, osobna moneta zdawkowa, którą bito przez czas jakiś; zamysłano — lecz tylko zamysłano — utworzyć osobny korpus polski. Nadto osobne akty: protokół wiedeński z kwietnia 1815 roku, odezwa Fryderyka Wilhelma III i patent okupacyjny z r. 1815 zapewniały używanie języka polskiego obok niemieckiego w sprawach publicznych, prawo do urzędów dla Polaków w Księstwie i w państwie, w Księstwie nawet pierwszeństwo dla Polaków w stosunku do innych, równouprawnionych poddanych pruskich.

Poznańskie zostało przecież częścią państwa pruskiego, tylko niektórymi znamionami jakby odrębnej państwowości oznaczoną. Nie miało odrębnego poddaństwa, ani odrębnych rządowych władz najwyższych. I te odrębności, jakie mu przyznano, nie miały długiego życia. Urząd namiestnika utrzymał się tylko do r. 1830, poczem go zwinięto. Zamiast Wielkiem Księstwem zaczęto nazywać Poznańskie prowincją (Provinz Posen). Bez wyraźnego aktu przestano używać herbu z dwujęzycznym napisem. W r. 1835 usunięto odrębność sądownictwa, wprowadzając ustrój pruskich sądów. Od r. 1848 sejm poznański stracił poprzednie stanowisko, ostał się, ale tylko jako organ samorządu. W r. 1896 jeszcze zmieniono barwy Księstwa biało-czerwone. Język polski po r. 1815 przez dłuższy czas był uznany w urzędach, sądach i szkole, lecz coraz tracił na znaczeniu, coraz silniej drugorzędny jego zaznaczano charakter. Aż wreszcie usunięto go; w szkołach wprowadzono język niemiecki jako wykładowy w latach 1872—1874, w urzędach i sądach w roku 1876 (równoległość z usunięciem języka polskiego w Królestwie!). Drobne pozostałości języka polskiego następnie wypleniono bardzo starannie, dużo dokładniej, niż w Królestwie, gdzie ostał się w gminie i sądzie gminnym.

Pozostaje jeszcze do omówienia Galicya. Traktatem z r. 1815 jedno tylko zawdzięczała Galicya: przywrócenie w r. 1817 sejmu stanowego, który jej nadał już Józef II, który jednak od wielu lat się nie zbierał. Miała to być — reprezentacya narodowa; jak nikłe ona miała znaczenie, nie potrzeba chyba mówić. W kierunku rozszerzenia praw Polaków nie poszła Austria, która wówczas płynęła pod sztandarem germanizacyi.

Jednakże przecież Galicya zachowała pewne pierwiastki tworó państwowego do dziś: 1) odrębne obywatelstwo, wyrażające się w pierwszej połowie XIX w., zwłaszcza w indygenatach, które dla szlachty innych krajów austriackich dawał sejm sta-

nowy, i 2) odrębność terytoryalną. Wynikało to z natury związku krajów, które podlegały berłu Habsburgów. Dążność do ściślejszego ich zespolenia szła coraz naprzód, od sankcyi pragmatycznej z r. 1713 i zwłaszcza reform Józefa I, lecz przecież do stworzenia w pełni jednolitej monarchii nie doprowadziła. Dużo nowych pierwiastków jednolitości przyniosła doba konstytucyjna monarchii; wspólną konstytucyę, wspólny parlament. Jednakże stworzył ostatecznie statut krajowy w r. 1861 częściową najwyższą władzę ustawodawczą krajową: sejm krajowy. Galicya przedstawia — jak to niedawno omówił Dubanowicz — „fragment państwowy“; jest dużo więcej niż prowincyą, choć nie jest państwem: ma nietylko odrębne terytoryum z odrębnym tytułem, godłem, kolorami, w pewnej mierze jakby odrębne obywatelstwo (przynależność krajową), ale częściowo i odrębne najwyższe organa władzy: sejm krajowy, a od r. 1871 i ministra w radzie Korony. Lata 1859—1869 przyniosły równouprawnienie języka polskiego, uznanie go nawet za język urzędowy.

Tak dziś z terytoryów polskich najbliższą charakteru państwowego jest Galicya, gdy straciło te cechy państwowe, jakie miało, Poznańskie, gdy utworzone w r. 1815, jako państwo, Królestwo Polskie zeszło na poziom prowincyi rosyjskiej.

* * *

Takie były losy postanowień Kongresu Wiedeńskiego o stanowisku prawnem dawnych ziem polskich. Warto dziś nad tą ewolucją się zastanowić. Na jedno zwrócić chcę uwagę: o stanowisku prawnem polskich dzielnic w ciągu stulecia nie przepisy kongresu zadecydowały, lecz stosunek ich do państw, z którymi zostały związane, tych państw rozwój prawnopaństwowy. Zadecydowała jednolitość i siła narodowa i państwowa w Prusiech i Rosyi, złożoność ustrojowa niejednolitej Austrii.

Polskość Galicyi.

Polską jest Galicya — i to cała Galicya, Zachodnia czy Wschodnia, od Białej po Tarnopol. Lecz na czem ta polskość polega? Jaka tej polskości siła? Nie wystarczy stwierdzić, iż Galicya — to część dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Za wielkie zmiany przyniosły wieki XIX i XX. Obudziły one do życia uśpione narodowości, u nas narodowość ruską, jeszcze nie dość sobie samej uświadomioną, szukającą dopiero dróg rozwoju, lecz w każdym razie przeciwstawiającą się nam, Polakom; przyniosły prądy separatystyczne wśród Żydów, którzy przedtem o narodowości swej jakiejś odrębnej nie myśleli, a dziś grupować się starają pod sztandarem syonizmu czy terytoryalizmu. Te narodowe przesunięcia połączyły się ze społeczno-gospodarczymi. Uwłaszczenie włościan w r. 1848 oddało w ręce włościan-Rusinów na własność ziemię, którą uprawiali i poprzednio, lecz która prawnie przedtem była własnością prawie wyłącznie polskiej szlachty, wyemancypowało ich z pod władzy polskich panów. Rusini, złożeni w czasie rozbiorów Polski i aż w głąb drugiej połowy XIX wieku z duchowieństwa i włościan, zaczynają wytwarzać powoli, lecz stale, warstwy społeczne silniejsze: mieszczaństwo i inteligencję. Żydzi, którzy aż do epoki konstytucyjnej przedstawiali masę biednych kupców i rzemieślników, z roku na rok zyskiwali w ostatnich dziesiątkach lat na sile gospodarczej nie tylko w handlu, który był i dawniej w dużej mierze w ich rękach, wzmagając intensywność swoich czynności, ale rozszerzając ruchliwą działalność na przemysł i kredyt, oraz coraz więcej zdobywając dla siebie ziemi przez kupno lub dzierżawę folwarków i domów po miastach.

Z temi zmianami musimy się liczyć, musimy brać je na uwagę przy ocenianiu naszej siły w Galicyi. Po zaborze Galicyi nikt nie liczył się z żydem ani z rusinem; jedyną warstwą, która znaczyła w kraju, byli polacy. W roku 1848 „odkryto“,

jak się to mówi, rusinów, i odtąd ruska kwestja powraca ciągle, lub też nawet latami nie schodzi z porządku dziennego. Konstytucya wyzwoliła utajone a bezwzględne siły żydów, hasła zaś separatystyczne zaostrzyły kwestyę żydowską i w dużej mierze inny jej nadały charakter.

Jeśli dziś Galicya przecież jest polską, to gruntuje się to na: 1) sile ludnościowej polskiej w Galicyi, 2) jej sile społeczno-gospodarczej i 3) sile prawnej polskości.

Czy te siły nasze są dość duże, by stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu? Co polskość Galicyi skrzepić może, umocnić?

Siła liczebna żywiołu polskiego w Galicyi nietylko utrzymała się w pełni, lecz wykazuje stały przyrost, także w ostatnich dziesiątkach lat, mimo obudzenia się niekorzystnych dla niej prądów, o których właśnie mówiłem. Po objęciu Galicyi przez Austryę gubernator Galicyi, hr. Pergen, obliczał w r. 1773 ludność ruską na $\frac{2}{3}$ ogółu ludności. Bez wątpienia bardzo nieścisłe było to obliczenie, oparte pewnie na szacunku raczej, niż na dokładnych cyfrach; wskazuje ono przecież przewagę liczbową ludności ruskiej. Dokładniejsze późniejsze dane cyfrowe wykazują, iż w połowie wieku XIX cyfry ludności polskiej i ruskiej były prawie równe; w r. 1857 na rzymskich katolików przypadało 44·74%, na greko-katolików 44·83%; ten stosunek procentowy przedstawia się w spisie ludności z r. 1910 dla polaków korzystniej: rzymsko-katolików było 46·50%, greko-katolików 52·11%. A więc wzmożła się prawie o 2% liczba polaków, do których należy wliczyć wszystkich rzymskich katolików, a nawet pewien, drobny zresztą, procent greko-katolików, gdy liczba rusinów zmniejszyła się o $2\frac{1}{2}\%$. A stało się to mimo przewagi ważnych czynników, które uświadomieniu rusinów sprzyjały więcej, niż polaków: liczby kościołów i szkół. Po rozbiorach kościołów greko-katolickich liczono prawie 3.000, rzymsko-katolickich ledwie koło 1.000; a nie potrzeba mówić o znaczeniu cerkwi w życiu ruskiem. Ten niekorzystny stosunek dotrwał do dziś, gdy w Galicyi ilość parafii greko-katolickich jeszcze obecnie jest przeszło dwa razy (o 110%) wyższa od ilości parafii rzymsko-katolickich. Toż szkół ludowych rzymsko-katolickich w r. 1865 liczono 956, a greko-katolickich 1.762 (w r. 1903 polskich (publicznych) 2.209, ruskich 2.086). Przewagę żywiołowi polskiemu dawał silniejszy przyrost (niższa ilość zgonów z powodu wyższej oświaty), zaś w ostatnich latach silniejsza była emigracya rusinów.

Na siłę życiową żywiołu polskiego wskazuje także to, iż w Galicyi Zachodniej, więc rdzennie polskiej, dużo mniejszy

jest procent żydów, niż we Wschodniej; wynosił on w latach 1890, 1900 i 1910 — 8%, 7·7%, 7·9%, gdy we Wschodniej 13·6%, 12·9%, 12·4%.

Jakkolwiek więc siła żywotna ludności polskiej jest duża, to jednak pamiętać należy, że ludność rdzennie polska stanowi ledwie połowę ludności Galicyi. Jeśli urzędowa statystyka podaje dużo wyższe cyfry polaków (w latach 1880, 1890, 1900 i 1910 na: 51·52, 53·49, 54·67 i 58·55%), to dlatego, iż przeważna część żydów podaje, jako własny, język polski.

Silniejsze, niż liczbowo, jest w Galicyi stanowisko polaków społeczne i gospodarcze. Jeszcze ludność ruska do dziś jest przeważnie włościańską, nie ma prawie całkiem wielkiej własności, liczy garść tylko inteligencji, a zaczyna dopiero rozwijać stan handlowo-przemysłowy. Siła społeczna i gospodarcza jest więc w rękach polaków. Tu zato pewien odsetek, i to znaczny, tej siły przypada na element nierdzennie polski: żydowski; a ten odsetek rośnie. Własność tabularną żydzi mogą nabywać dopiero od roku 1868; a już w r. 1902 z 2,916.630 ha ziemi folwarcznej w ich rękach znajdowało się 301.619 ha, t. j. 10·3%, w r. 1912—12·5%. Z osób zajętych w handlu, na żydów w r. 1900 przypadało w Galicyi Zachodniej 59·2%, w Galicyi Wschodniej aż 74%. Toż opanowali żydzi w dużej mierze kredyt. W latach 1864—1909 powstało 881 żydowskich stowarzyszeń kredytowych, a chrześcijańskich tylko 563. W r. 1908 było w Galicyi tylko 474 stowarzyszeń chrześcijańskich a 689 żydowskich (z sumy składek na pierwsze przypadało 120 milionów, na żydowskie 71½ mil. koron). Toż w zawodach intelektualnych wolnych żydzi zajęli bardzo poczesne miejsce: w r. 1910 żydzi adwokaci stanowili 58% ogółu adwokatów (w r. 1900 — 46·3%, w r. 1890 jeszcze tylko 36·4%), wśród lekarzy w r. 1910 było żydów 29·6% (w latach 1900 i 1890—27·2, wzgl. 22·3%). A procenty te będą jeszcze rosły, gdy się uwzględni silny dopływ żydów do uniwersytetów. W Krakowie wynosili żydzi przeszło 15% uczniów uniwersytetu koło roku 1900, poczem procent ten spadł nieco, we Lwowie ciągle rósł, poszedł ponad 20%. Na wydziale prawa we Lwowie było w latach 1901—1906 31·8% żydów, w Krakowie 19·6%, na wydziale medycznym we Lwowie 47·2%, w Krakowie 27·8%, a nawet na filozofii wynosił we Lwowie 31·7, gdy w Krakowie 5·1%. Warto zaznaczyć, iż cyfry te są przecież niższe, niż w innych austriackich uniwersytetach, gdy w latach 1901—1906 w Pradze żydów było wśród uczniów 25·2,

w Wiedniu 23·5, w Czerniowcach 41·2%; a przecież w zachodnich krajach Austrii żydów dużo mniej, niż w Galicyi.

Siłę polskości w Galicyi liczbową, społeczną i gospodarczą wzmocniło prawo w dobie konstytucyjnych rządów Austrii. Wielką to zasługą ówczesnych polskich polityków w Galicyi, iż umieli wyzyskać zasadę równouprawnienia narodowości, którą głosiły konstytucye, i oprzeć na niej prawa języka polskiego i polskiej narodowości w urzędzie, sądzie i szkole. Szli ci politycy dalej; w słynnej rezolucyi z roku 1868 postavili program, czego dla Galicyi żądać; chcieli umocnić jej stanowisko prawno-państwowe, uzyskać cały szereg cech, któreby jej prawie charakter państwa nadawały. Nieraz później zarzucano walce o „rewolucyę galicyjską“, że odciągała siły, które mogły być przydatne na innem polu — organicznej pracy społeczeństwa. Jaka wartość pracy organicznej, nie potrzeba podnosić; że główną siłą społeczeństwa jest jego siła liczebna i społeczno-gospodarcza, to pewna. Ale też z doświadczenia wiemy, co znaczy podparcie tej siły przez przepisy prawa, z doświadczenia Galicyi w ostatnich 50 latach, gdzie to w części się stało, z doświadczenia Królestwa, któremu tego prawa od przeszło pół wieku brakło. O ileż silniej stałaby dziś Galicya, gdyby rezolucya galicyjska stała się była prawem! Warto może przypomnieć, iż była chwila, kiedy to się stać mogło, kiedy stronnictwa centralistów niemieckich gotowe były zgodzić się na wyodrębnienie Galicyi wzamian za pomoc — przeciw Czechom; warto przypomnieć, iż polacy za tę cenę pomocy dać nie chcieli.

Prawo zwracania się do władz i sądów po polsku opiera się na rozporządzeniach cesarskich z roku 1859 i 1860, prawo języka polskiego, jako języka urzędowego, t. j. służby wewnętrznej władz i sądów, na rozporządzeniu z r. 1869. Zasadę, iż gmina oznacza język szkoły ludowej, że polskie mają być gimnazya z wyjątkiem tych, dla których język ruski lub niemiecki uchwali sejm, ustaliła ustawa krajowa z r. 1867. Rozporządzeniami wprowadzono polski język do uniwersytetów. Gminom prawo wybierania sobie języka przyznało rozporządzenie z r. 1859, a utrudniła zmianę wybranego ustawa krajowa z r. 1907.

Polską jest Galicya. Żywiółu polskiego w Galicyi, także Wschodniej, nie usuną i najgorsze wypadki, gdy opiera się jego siła na liczbie uświadomionej ludności, na jej przewadze społecznej i gospodarczej. Lecz panowanie polskości w Galicyi może być na szwank narażone, gdy tylko połowa lud-

ności jest rdzennie polska, gdy rośnie w niej znaczenie społeczno-gospodarcze niepolskich żywiołów, gdy prawne przepisy mogą być w niekorzystnych warunkach innymi przepisami zastąpione. O ileż słabszą, niż w Galicyi, jest polskość w Poznańskiem, mimo iż stosunek liczbowy polaków do reszty ludności tam o tyle korzystniejszy, gdyż przedstawia się procentowo jak $61\frac{1}{2}$ do $38\frac{1}{2}$; lecz tam polacy nie górują pod względem społeczno-gospodarczym a prawo polskości nie przyznaje praw żadnych. Własną siłę największą ma Królestwo i cyfrą rdzennie polskiej ludności (76%) i siłą gospodarczo-społeczną, do tego nie w takiej mierze urzędniczą, t. j. niepewną swoich losów, jak w Galicyi; jak silnie tam polskość stanie, gdy ją podeprze prawo!

Dlatego dla Galicyi jest rzeczą ogromnej doniosłości, by zyskała oparcie o terytorja liczbowo silniej polskie, by uzyskała gwarancyę w państwowości polskiej, że prawo przeciw jej polskości się nie zwróci. Tylko wtedy zdoła ona i po wojnie utrzymać w pełni całą swoją polskość.

Franciszek Józef I a polacy w Galicyi.

Gdy wstępował na tron 2 grudnia 1848 r. wśród blasków błyskawic, w odgłosie burzy, które sprowadziła na Austrii horyzont wiosna narodów, wszechwładnie panował w Galicyi obcy urzędnik, w obcej mowie sprawujący rządy, wydający rozkazy, obcy sędzia sądził ludność w niezrozumiałym dla niej języku, obcy ludności język był językiem szkół, od najniższej, ludowej, aż do najwyższej, uniwersytetu. Nie czuł polak, że po własnej stąpa ziemi, po tej ziemi, która jego jest, jak była ziemią jego ojców i dziadów.

A w chwili śmierci Jego tą Galicyą rządzą polacy urzędnicy, jej mieszkańców sądzą polacy sędziowie, polacy nauczycielami młodzieży, czy znajomość liter im niosą, czy wprowadzają na najwyższe szczyty wiedzy. Polska mowa rozbrzmiewa wszędzie, nietylko jako język władz i sądów do ludności, lecz i jako język wewnętrznej służby rządowej. Z tej ludności polskiej Galicji wyszła koncepcya odbudowania Polski w oparciu o tron Habsburgów, tej ludności polskiej młodzież pośpieszyła do polskich legionów, które z Austryą się związały, oddały pod opiekę jej cesarza.

Jakaż to długa droga do tych czasów, gdy na tron wstępował Franciszek Józef I, aż do chwili obecnej, do aktów z 5 listopada! Na początku — stara Austrya, korzeniami swej politycznej myśli sięgająca w wiek XVIII, uważająca za swój cel i zadanie przetwarzać Austryę w jednolite, niemieckie państwo, rządzone niemiecką myślą, bez względu na narodowe dążenia różnorodnych narodów i szczepów, które w niem się przez bieg historycznych wypadków znalazły. Na końcu jego rządów — Austrya, która pomocną dłoń podaje wskrzeszeniu państwa polskiego, zapowiada rozszerzenie praw Galicyi.

Przeprowadzenie Galicyi przez tę długą, trudnościami najeżoną drogę, usunięcie warstwom, które rządziły nią, wdrożonych przez dziesiątki lat pojęć, a postawienie w ich miejsce

nowych idei—to czyn potężny, wielki, który na zawsze połączy się z imieniem zmarłego monarchy. W epoce, gdy zbudziła się do życia i zwyciężyła w Europie zasada państwa narodowego, zdawało się, że traci rację bytu monarchia, która narodowym państwem być nie może. Zbawiła monarchię ta idea nowa — państwa, które ma być oparciem dla różnych narodowości, choćby niektóre były tak małe i słabe, że państwa utworzyć nie mogą; ta idea pociągnęła i narody większe, które zrozumiały korzyści przynależenia do dużego mocarstwa, gdy jasnym się stało, że to mocarstwo zapewni im swobodny, na sprawiedliwości oparty byt narodowy. Ta idea zwyciężyła i w umysłach polaków, których los do Austrii przyłączył.

Niezaraz po roku 1848 to się stało. Pierwsze objawy nowych myśli nie miały jeszcze wtedy wcielić się w życie na stałe. Dopiero lata 1859 — 1873 przyniosły w starciach jeszcze niejednokrotnych ostateczne nowych zasad ustalenie, na których oparło się życie polityczne także polaków. Odtąd ono już spokojną płynęło rzeką aż do lat ostatnich.

Nim przyszło do ugruntowania nowych zasad, nowej konstytucji w dyplomie październikowym 1860 roku, już w r. 1859 z zarządzenia władzy nakazano władzom politycznym w Galicyi używać w stosunku do ludności jej języka, polskiego lub ruskiego, a w następnym roku nowe rozporządzenia wprowadziły język polski i ruski jako języki, w których mają urzędować wszystkie władze i wszystkie sądy w stosunku do ludności, zależnie od jej narodowości. Usuwać się poczęli obcy urzędnicy, ich miejsce wreszcie zaczęli zajmować w szerokiej mierze polacy. W rok później spolszczono częściowo krakowski uniwersytet.

Jeszcze nie była ukończona przebudowa Austrii, która miała być też odbudową jej sił, podgryzionych ciasną myślą centralizacyi i germanizacyi, jeszcze po dyplomie październikowym Gołuchowskiego z 1860 r. i patencie lutowym Schmerlinga 1861 r. czekała Austria na nową konstytucję, którą miał przynieść grudzień 1867 r., a jednak już tak pewną stało się rzeczą, iż w nowych ramach dla życia państwowego polacy będą mogli żyć swobodnie, iż już sejm w r. 1866 mógł wypowiedzieć pamiętne słowa, iż polacy przy monarsze stoją i stać chcą „bez obawy odstępstwa od myśli narodowej a z wiarą w posłannictwo Austrii“.

Konstytucya grudniowa 1867 r. nie zadowoliła polaków. Głosowali jednak za nią w uwzględnieniu potrzeb monarchii. Przed jej ogłoszeniem zyskała sankcyę ustawa krajowa o je-

zyku w szkołach, przekształcająca szkołę ludową i średnią w Galicji na polską, względnie ruską, otrzymała też Galicya — w myśl żądań sejmu — radę szkolną krajową. Żądania polaków przecież szły dalej; sformułował je sejm w rezolucyi z 28 września 1868 r. Wyodrębnienie Galicyi stało się hasłem, pod którem skupiła się delegacya sejmu w wiedeńskim parlamencie. Rozpoczęła ją walka o rezolucyę, której pamięć dziś specjalnie tak żywo powraca. Postulatów w pełni przeprowadzić się nie udało. Jednakże w związku z tą walką o rezolucyę uzyskali polacy w Galicyi szereg dalszych koncesyi: w r. 1869 uznanie języka polskiego, jako języka służby wewnętrznej, w urzędach i sądach, w r. 1870 spolszczenie uniwersytetu krakowskiego, w r. 1871 powołanie do rady korony osobnego ministra dla Galicyi, oraz spolszczenie uniwersytetu lwowskiego i politechniki lwowskiej.

Po przegranej kampanii parlamentarnej w r. 1873 przy wprowadzeniu bezpośrednich wyborów do rady państwa polacy, zrezygnowawszy z dalszych starań o „rezolucyę“, pogodzili się z państwem, z opozycyi, w jakiej szereg lat zostawali, przeszli do większości rządowej. Cały szereg wybitnych mężów stanu dali monarchii habsburskiej, za zasadę swoją przyjęli, iż państwu nie odmawiają uznania żądań, które dla jego siły potrzebne: wojska i budżetu.

Szeroka myśl monarchy zapewniła polakom możność narodowego bytu, rozwój sił narodowych. Odpowiedzieli na to lojalnością szczerą, prawdziwą, która niezmacona wzrastała do dnia ostatniego. W tem zaufaniu w jego rozum, myśl i serce pokładali nadzieję, że przy jego pomocy i tego państwa, które jemu podlega, zdobędą i to, co ich serc i myśli było zawsze najgorętszem pragnieniem.

Z głębokim smutkiem stanęli też u jego trumny.

Królestwo i Galicya.

Koniec w. XVIII przyniósł podziały państwa polskiego, których poprawianiem zajęły się jeszcze i początkowe lata XIX stulecia: 1807, 1809, 1815, wreszcie r. 1846. Od tej ostatniej daty stan faktyczny rozdziału polskich ziem i polskich istnień już przetrwał do chwili obecnej, jeśli się pozostawi na boku częściowe wyodrębnienie w r. 1911 Chełmszczyzny, którą jednak przecież nominalnie pozostawiono w granicach general-gubernatorstwa warszawskiego, a więc Królestwa Polskiego.

Ale ten wiek XIX przyniósł jeszcze jeden podział, nie mieczem dokonany, nie gwałtowny, jednak równie doniosły, choć — na nasze szczęście — nie przeprowadzony w pełni: podział dusz polskich. Zwolna, bardzo zwolna, ale szedł on na przód. Nie bardzo go spostrzegano nawet, ale kto patrzył głębiej, tego musiała trwoga przenikać, by z tego narodu jednolitego nie wytworzyły się kiedyś — choćby w dalekiej, bardzo dalekiej przyszłości — trzy narody. Kto głębiej patrzył, ten musiał to spostrzedz, że nie wystarczy jeden wspólny język, nie wystarczy jedna wspólna książka polska, by kitować te szpary i rysy w dawnej jednolitości charakteru. Wszak po angielsku mówią irlandczycy, choć anglikami nie są, a szwajcarzy francuscy czy belgijczycy Szwajcaryę czy Belgię za swoją uważają ojczyznę. Czy zmienimy się w galicyan, poznańczyków i królewianów, rozumiejących się słowami, wymawianemi tak samo, lecz nie pojmujących duchem? I to pomimo tego, że byliśmy kiedyś jedną narodową istotą we wszystkich dziedzinach duszy naszej na tych olbrzymich obszarach od Tatr po Helę, od Warty po Dźwinę i Dniepr? Żartowali nieraz mieszkańcy Wielkopolski z wymowy litwinów lub małopolan z mazurzenia mazowszan. Ale drgało we wszystkich jedno serce, wszystkich umysły jednakiemi myślały kategoriami. Boć wszystkich łączyło jedno państwo i jedno prawo, jeden sejm i jeden sąd, jedna szkoła i jedna książka, jedna wiara i jeden na świat pogląd.

A jeśli głębiej patrzące umysły zadawać to sobie musiały pytanie, czy nam kiedyś duchowy nie grozi rozbiór, to chyba dziś mogą to spostrzedz wszyscy, którzy tylko otwarte mają oczy i uszy. Bo choć dziś serce polskie bije równym rytmem, w Poznaniu, Wilnie czy Lwowie, równie silną i głęboką miłością wspólnej jednej ojczyzny, która dla wszystkich jednako polską się nazywa, nie Galicyą czy Poznańskiem, to jednak nieraz trudną staje się rzeczą, by polak polakowi ten rytm serca mógł jasno wyrazić; nieraz, kto powierzchownie sądzi, złudzeniu ulega, jakoby było inaczej; dopiero przekonywać go trzeba, długo, z nakładem wysiłku, a nieraz przekonać się nie uda.

Tak! Niema co taić tego. My się nieraz nie możemy zrozumieć, nie możemy porozumieć, choć tego samego chcemy, tak samo czujemy. To tej setki nieszczęsnych ostatnich lat naszego bytu fatalny osad, jaki nasze pokrył dusze zewnętrzną warstwą, jak izolująca materja, która zetknięciu płynących pod nią prądów przeciwdziała. Swoją kulturę narzucały nam obce państwa, w których skład weszliśmy, swoje dały nam prawo, swoje podawały ideały do wielbienia, wszczepiały swój pogląd na świat. Wciągały w swój świat interesów, wiodły do swoich stolic, błyszczących często dużą, choć różną co do swej wartości świetnością: do Wiednia, Berlina, czy Petersburga. Przystawała być naszą stolicą jedyną Warszawa; do brze, jeśli w pojęciach tej stolicy miejsce zajmowały prowincyi czy krajów stolic: Poznań, Lwów, Kraków lub Wilno.

Pozostały nam jako to, co nas najsilniej łączy: ideał Ojczyzny, piękno literatury czy sztuki, które czysto polskie z niewielkimi wyjątkami, rozumiały każdej polskiej głowie, pozostał mniej więcej jeszcze wspólny charakter i obyczaj, choć już w nim widać różnice.

I tęsknota ogarnia duszę polską coraz większa, by jedność tej duszy znowu odbudować, a nadzieję budzi ta wojna, że może przecież przyniesie warunki, które tej duchowej jedności staną się podłożem.

Lecz nim to przyjdzie, starać się trzeba, by się—poznać, by się zrozumieć, boć trudno się zrozumieć, jeśli się nie zna.

Za wielki to trud—odtworzenie polskiej duszy w jej całości, bym chciał i mógł się go podjąć. I nie robi tego jeden człowiek, boć nie wystarczy na to dwoje oczu, które widzą tylko ciasny kawałek świata, nie wystarczy umysł, który tylko cząstkę tego, co widzi i wie, zrozumieć może. Ale może i te fragmenty przydadzą się na coś lub innych pobudzą, że lepiej rzecz ujmą i przedstawia.

1. Znajomość Galicyi w Królestwie.

Co wiedział królewiać o Galicyi? Taki „przeciętny“ królewiać, nie mający w Galicyi rodziny, któraby odwiedzał, czy interesów, a takich jeszcze mniej było i jest do dziś.

Wiedział, że w tej Galicyi jest Kraków, który niegdyś był Polski stolicą i gdzie się koronowali królowie, że w tym Krakowie jest dużo, bardzo dużo kościołów, na każdej ulicy po kilka, omal tyle, co ludzi. Wiedział, że Kraków, to siedziba stańczyków, a ci stańczycy obsiedli zwłaszcza uniwersytet, tak, że kto nie był stańczykiem, nie mógł dostać katedry. Wartości „postępu“ nie umieją zgoła w Krakowie ocenić. Wiedział, że przez Kraków jedzie się na lato do Zakopanego, a wtedy trzeba się w nim kilka dni zatrzymać, obejrzeć rynek, Wawel i kilka kościołów. A gdy się wraca z Zakopanego, to trzeba znowu się zatrzymać; bo tam w Krakowie wtedy już gra teatr, a w teatrze wystawiają takie sztuki, które są zakazane w Królestwie: „Kościuszek pod Racławicami“, „Tamten“, „Wesele“ i „Urzędowa żona“. Co roku grają te sztuki—pewnie nie tylko w sierpniu i wrześniu, ale przez rok cały. Ale operetki nie mają, nie umieliby się poznać nawet na takiej, jak warszawska w „Nowościach“, najlepsza w całej Europie. I wiedział, że przez rok cały grają i śpiewają „Jeszcze Polska nie zginęła“, grają nawet wojskowe muzyki. Dawniej wypadało zatrzymać się w Krakowie, gdy się jechało do Włoch lub na Riwierę, wogóle przez Wiedeń; ale to ustało, odkąd wprowadzono także doskonałe „schnellzug“, prosto z Warszawy idące „za granicę“; zresztą — co w tym Krakowie robić, gdy nie można się wieczór zabawić, ludzie z kurami spać chodzą. Niegdyś może inaczej było, ale teraz, ot: prowincya.

Poza Krakowem wiedział, że jest jeszcze Lwów, stolica kraju, do którego się jednak nie jeździ, bo niema po co. W nim zbierają się sejmy, do których się wybiera posłów. Ale nie wybiera się porządnie, tylko stańczyki przekupują chłopów i wybierają, kogo chcą. Nie wiedział zresztą dokładnie, po co ten sejm jest. Urzędnicy są w kraju polacy; cóż, kiedy powoli sprawy załatwiają; nawet łapówka nic nie pomoże, bo jej brać nie chcą. Zresztą biedny kraj! Dziwna, że jeszcze obuci chodzą, bo z powieści zdawałoby się, że prawie wszyscy bosi. Widać, że źle z nimi, bo ciągle narzekają na drożyznę, nie dają takich napiwków hojnych, jak się daje w Warszawie. Jeśli jeszcze mają buty, to pewno im się niedługo zedrą, a na nowe nie starczy. Piszą przecież dzieła o „nędzy Galicji“, a któż się chętnie sam do nędzy przyznaje?

Mówię tu oczywiście o „przeciętnych“ królewianach. Bo byli i są inni. Są tacy, którzy z radością co roku odwiedzali Kraków, w nim nieraz kilka lat studyów przeżyli, na potrzeby polskie, które w Krakowie zaspokojenie znajdowały, hojne przywozili ofiary. Jest brać literacka, nie znająca kordonu, jak myśl, co jest wolna; nie odróżnić wśród nich w Warszawie czy Krakowie królewianów od galicyan, tak ich z sobą wymieniały obie te dzielnice, czy na stałe, czy na okresy, po których znowu przenoszą siedzibę. Jest też światek uczonych polskich, zapatrzonych w tajemnice przyrody, przeszłości lub ducha, związany wspólnością pracy, ciągłą wymianą zdań i poglądów, który nie umiał i nie umie odczuć partykularyzmu dzielnic, gdy dla całej polskiej ciągle pracuje teraźniejszości i przyszłości.

Ale tamtych pierwszych więcej, tych, którzy rzadko piszą, ale zato dużo mówią; a tych poglądów toby zresztą nie napisali, bo nie wypada tak o Krakowie pisać.

W ostatnim dziesiątku lat pod pewnymi względami może nieco było poprawy; ale niewiele. Okres rosyjskiej rewolucyi przypędził do Krakowa i Lwowa tysiące osób z rosyjskiego zaboru. Spędzili oni tu rok i więcej nawet. Czy obserwowali galicyjskie życie? Czy chcieli i umieli na nie patrzeć? Przyjąć trzeba, że przynajmniej w części tak było. Przyszedł strajk szkolny; fala młodzieży napłynęła na krakowski zwłaszcza uniwersytet. I choć w pewnej, w dość dużej nawet mierze, ta młodzież przychodziła z pojęciami, które w nią rosyjskie gimnazjum wpoilo, że za mało postępu tu, za mało szerokiej myśli, jaką rosyjscy reprezentują budowniczowie nowego życia—oczywiście nie ci z Warszawy rosyjanie, lecz tamci, którzy postępu są głosicielami—to jednak po kilku latach studyów chyba jednostki z tego nie potrafiły się otrząsnąć, pozostając opornie przy doktrynkach, które dziwne szkiełka na oczy zakładały. Ogół, po prostu cały, wciągany w życie młodzieży, wychowywany w tej atmosferze, którą krakowski czy lwowski uniwersytet oddycha, poznawał nasze życie zblizka i z tą lepszą znajomością tej dzielnicy wracał później, zachowując lepsze wspomnienia i lepsze szeregac o Galicyi wiadomości.

Zato bez rezultatów minął okres, gdy w Galicyi rozbrzmiewały hasła o emancypacyi z pod gospodarczej przewagi obcej, o podnoszeniu swojskiej produkcyi, a więc o zawiązywaniu bliższych stosunków z przemysłem Królestwa. Obliczony był ten przemysł na rynki Królestwa czy Rosyi, o nowy targ w Galicyi nie zatroszczył się, a zatroszczyć się prawie nie mógł wobec celnej granicy, tak ostro zarysowanej przez wysokie cła

pozycje, które uniemożliwiły mu konkurencję w Galicyi z przemysłami Austrii czy Niemiec, uprzywilejowanymi, a i wogóle zwykle silniejszymi, przez swój dawny rozkwit, przez silne podstawy, na których się wsparły. Po dawnemu jedynie drukarnie krakowskie drukowały i dla targu Królestwa książki czy tygodniki; hasła zawiązania bliższych stosunków z fabrykami Łodzi i Warszawy przyniosły nam, zdaje mi się, jako nabytek, tylko Majewskiego ołówki.

2. Jak Galicya informowała o sobie Królestwo?

Zupełnie jednak niesłuszną byłoby rzeczą winić tylko lub też przeważnie królewiaków, iż taki stan rzeczy się wytworzył. Przeciwnie nawet, ich winy nie tak wiele, dużo więcej—Galicyi. Boć, w najlepszych nawet stosunkach, nie podobna spodziewać się, by ogół mieszkańców jednego kraju mógł poznać kraj inny przez pobyt w nim dłuższy czy krótszy, przez obcowanie z ludźmi tego kraju w jego granicach. Jeśli ideał, by polak całą Polskę znał, ideałem musi zostać, to, o ile o przeszłość chodzi, nawet jego częściowe urzeczywistnienie nie było łatwe. Prawda, iż w ostatnich latach królewiaczy, którzy mogli wyjeżdżać z kraju, wyjeżdżając, zwłaszcza na lato, omijali Galicyę tak, że do legendy przeszły te ich wakacje, które spędzali rojnie w Krynicy, Szczawnicy i Zakopanem. Lecz nie ich mam na myśli, lecz ogół inteligentny, który nie łatwo—mimo najlepszych chęci—mógł zwiedzać Kraków czy Lwów, gdy trudności paszportowe nieraz były nie do przewyciężenia, a w każdym razie bardzo dotkliwe dla kieszeni przy tak wysokich opłatach paszportowych, jakie w Królestwie płacić musiano.

Ten ogół powinien być zaznajomiony z Galicyą w inny sposób, mogący zastąpić znajomość osobistą z nią dla tych, którzy przyjeżdżać tu nie mogli, konieczny zaś i dla tamtych jako uzupełnienie tego, co widzieli, gdy nie wszystko można widzieć. I to wina Galicyi, że nie dbała o to, by o sobie mówić Królestwu, o swoim życiu, o swoich troskach i nadziejach, pracy i zdobyczach. Albo Królestwa nie informowała, albo też informowała źle.

Przyzna mi chyba każdy, kto przeglądał dzienniki warszawskie—bo o te tylko może chodzić jako czytane przez całe Królestwo, gdy prasa prowincjonalna bez znaczenia—iż korespondencje z Galicyi w tych pismach, na ogół rzadkie, stały z nielicznymi wyjątkami na poziomie... właściwie na żadnym nie stały poziomie. Jedynie o teatrze i sztuce mówiły w spo-

sób może dostateczny. Poza teatrem korespondenci zajmowali się polityką, ale nie tak, by oceniali walkę idei, rezultat wysiłków ustawodawczych czy samorządnych, lecz taką politykę od stolika kawiarni czy ludowego wiecu w złem tego słowa znaczeniu. A więc pisało się o wyborach, jak walczą ze sobą stronnictwa, o przekupstwach i gwałtach, z szermierki myśli sejmu dostawało się do pism warszawskich karykaturalne odbicie, w którym widziało się tylko walkę osób o władzę, a osoby, najwybitniejsze w naszym życiu publicznem, w takich słownych portretach, że albo ironii uśmiech budzili jako mali ludzie do małych nawet interesów, albo wprost wstręt nawet. Poza sztuką zaś, teatrem i polityką, tak pojętą, w korespondencji rozsiadła się pani plotka z okresów karnawału czy postu.

A i w pismach niecodziennych, tygodnikach czy miesięcznikach, które dawniej zamieszczały staranniejsze kroniki krakowskie, lwowskie czy galicyjskie, w ostatnich dziesiątkach lat coraz mniej Galicyą się zajmowano; w ostatnich latach nieco więcej jedną stroną — sprawami ekonomicznymi Galicyi, ale i to w ograniczonej tylko mierze.

Mogliśmy jednak mówić o sobie w inny sposób — przez prace, naukowe ściśle, czy więcej popularne, traktujące o „wczoraj” i o „dzisiaj” Galicyi, o tem, jaka była jej historia, jakie ustroju zmiany, gospodarcze losy, o tem także, co to sejm, rady powiatowe, jaka działalność ustawodawcza czy samorządna we wszystkich jej objawach, na polu szkolnictwa czy rolnictwa, kolei czy handlu i t. d. Ale i tego nie zrobiliśmy. Ze wstydem wyznać musimy, że nie mamy ani jednej historii Galicyi, choćby podręcznej tylko, choćby zarysy rozwoju dającej, że nie mamy podręcznika, któryby opisywał urządzenia prawne Galicyi, jej ustrój prawno-publiczny, więc stosunek do Austrii jako całości, władze specjalnie krajowe i t. d. Nawet monografii o poszczególnych stronach życia Galicyi mało; pisało się więcej o gminie wiejskiej, o miejskiej ledwie nieco, niewiele o radach powiatowych, nic o ustroju sądownictwa, trochę o prawach języka polskiego, prawie zgoła nic o sejmie; przecie jedyną pracą, dającą jaki taki obraz sejmu, to książka francuza z polką żonatego — Jerzego Bienaimé: „La diète de Galicie” (Paris, 1910). I rzut oka podał na historię Galicyi, ustrój skreślił sejmu, charakterystykę stronnictw i dwa omówił najważniejsze problemy: ruski i żydowski.

Jedynie o gospodarczej strukturze Galicyi mógł królewski nabrać pojęcia z doskonałej „Galicyi” Franciszka Bujaka. Omówił w niej autor przystępnie, a mimo to gruntownie, całość naszego życia gospodarczego i ogromną usługę oddał i nam

samym, żeśmy mogli lepiej poznać siebie, i umożliwił poznanie nas w tym dziale naszej pracy przez inne dziedziny.

W inny sposób zapoznać chciano Królestwo w tej dobie, gdy mu świtać zaczynała—zdawało się—lepszera era, w początkach rewolucji rosyjskiej, z tem, jak Galicya swoje narodowe wywalczyła prawa. Trzej autorowie: Michał Bobrzyński, Wł. L. Jaworski i Józef Milewski wydali spory tom p. t.: „Z dziejów odrodzenia politycznego Galicyi 1859—1873“ (Warszawa, 1905). Dali w tej książce wybór najważniejszych aktów z tej przełomowej dla nas epoki, tych, które ugruntowały naszą swobodę narodową w Galicyi, oraz wybór z najważniejszych—i dodali na początku—nadzwyczaj zresztą krótki—rys historii tych lat, a na końcu sumarycznie rezultaty, do jakich doszła Galicya w okresie ostatnich dziesiątków lat, t. j. po zdobyciu autonomii i samorządu.

Pożyteczna to książka niewątpliwie, przystępna jednak dla więcej już wyszkolonych umysłów; układano ku nauce dla tych, co Królestwo Polskie mieli prowadzić, by pouczyć się mogli poprzedniami Galicyi doświadczeniami, jakby wzorów formularz.

Dopiero w czasie wojny, w r. 1915 w Warszawie, pojawiła się obszerna broszura Bohdana Winiarskiego, królewia, a ucznia krakowskiego uniwersytetu, p. t. „Ustrój prawno-polityczny Galicyi“, dająca prawie popularny, lecz wcale starannie napisany zarys ustroju politycznego Galicyi, zwłaszcza ustroju sejmu, z krótkim wstępem poprzedniej historii tego kraju, odkąd z Austryą został połączony, i z dodatkiem o skarbowości Galicyi, t. j. o udziale jej w budżecie państwa i o budżetach kraju, powiatów i gmin.

Wywołała tę książkę wzmożona w czasie wojny potrzeba Królestwa, by się zapoznać z temi ramami prawnymi, w które ujęto życie Galicyi polityczne i prawne. Potrzebę zaspokoił na szczęście autor; wdzięczność mu się za to należy. Ale czy takiej broszury nie powinno było już dawno być? Czy nie powinno było być i więcej takich prac, i naukowych i popularnych? Iluż błędnych sądów przez to możnaby było uniknąć, ilu nieporozumień!

3. Znajomość Królestwa w Galicyi.

Ale przypatrzeć się trzeba także naodwrot tej sprawie: czy Galicya znała Królestwo? I znowu odpowiedzieć wypadnie przecząco. Zwłaszcza doświadczenia z czasu wojny dostar-

czyły na to dowodów bez liku, jak niewiele o Królestwie wiedzieliśmy, jak nie znaliśmy jego psychologii. Inaczej jednak nieco rzecz się przedstawia, jeśli chodzi o sposób informowania Galicyi o Królestwie; inne tutaj nieco powody Galicyi w sprawach Królestwa nieświadomości.

Do Królestwa jeszcze dużo mniej jeździli galicyjanie, niż królewiaacy do Galicyi. Garstka tych, których węzły rodzinne z Królestwem złączyły — poza nimi mało kto. Iluż znaleźć choćby w Krakowie takich, którzy dobrze znają całą omal Europę, w roku po kilka razy bywali w Wiedniu, a nie widzieli Warszawy. Znaleźć takich nie trudno wśród ludzi nawet społeczeństwu przodujących; zresztą niech każdy poszuka choćby wśród swoich przyjaciół i zapyta ich, czy widzieli Zamek lub Łazienki? A przecież trudności paszportowe nie były dla nas tak wielkie, a taksa nie taka wysoka za wizę. Ta drobna strata czasu na załatwienie paszportowych formalności i nieprzyjemność przykrej nieco rewizyi na granicy nie może tłumaczyć naszego niedbalstwa, jak i strach, że tam tak łatwo można było narazić się na to, że „nakryją“, boć nie groziło to znowu tym, którzy nie wieźli z sobą „bibuły“.

Osobistego zetknięcia galicyjan z Królestwem było bardzo mało; a ci nawet, co jeździli, to tylko do Warszawy, a niekiedy zatrzymywali się w Częstochowie, którą lepiej lud nasz poznał. U siebie poznawali królewiaaków głównie na wakacjach, w Zakopanem, gdzie woleli — rzecz jasna — z „ładnemi“ i „szykownemi“ warszawiankami, nieraz ku zazdrości galicyjanek, ćwiczyć się w flircie, zwłaszcza że jego szkoła taka była dobra, niż wieść poważne rozmowy z córek ojcami czy żon mężami. — Zato lepiej informowani byliśmy o Królestwie pismem. Prawda, że i o Królestwie brak również systematycznej pracy; dawniej napisał — w r. 1900 — króciuchne „Sto lat zarządu Królestwa Polskiego“ Askenazy, a dopiero w czasie wojny, również w popularny sposób, nieco szerzej jednak, skreślił Kutrzeba dzieje „Sprawy polskiej w Królestwie“ od r. 1815 do 1915. Obraz całości gospodarczej Królestwa w przecięciu ostatniej doby dała jednak tylko niemiecka praca Cleinowa: „Die Zukunft Polens“. Ale nie brak zato prac, i to obszernych nawet, o poszczególnych ustępach historyi Królestwa, o obu powstaniach, toż traktujących o jego ustroju, jego władzach, skarbie, wojsku, sądach, gminie wiejskiej i t. d. I, co rzecz znamienna, iż kiedy o Galicyi, jej historyi i ustroju, pisali przeważnie tylko profesorowie obu uniwersytetów, to Królestwo ma bez porównania lepiej opracowane swoje dzieje ostatnich stu lat, choć polskiego uniwersytetu — wtedy, kiedy głównie tę

historię pisano—już w Warszawie nie było. Pisali tam ludzie praktycznie zajęci, zwłaszcza dużo prawnicy, t. j. adwokaci. Nieco dopomogli i galicyjscy profesorowie ze swoimi uczniami.

Książka jednak, zwłaszcza jeśli większa, naukowo omawiająca pewne zagadnienia, nie dociera u nas niestety daleko. Tych, co książki naukowe kupują, koło dosyć skąpe; w Królestwie najliczniejsze, nie tylko ze względu na ilość większą ludności, ale i procentowo; dużo mniejsze w Galicyi, a już mniej niż szczupłe w Poznańskiem. Łatwiej trafia do większej liczby czytelników broszura, miesięcznik, a zwłaszcza dziennik, i w ten sposób szerzyły się o Królestwie wiadomości w Galicyi dużo lepiej, niż naodwrot. W części temu to przypisać należy, iż w Warszawie utworzyło się najsilniejsze centrum peryodycznych wydawnictw polskich. Gdy miesięczniki galicyjskie, krakowskie czy lwowskie, rzadko przekraczały kordon, a nigdy nawet wogóle nie cieszyły się większą poczytnością, tygodników i dwutygodników prawie nie było, to do Galicyi docierały w większej ilości miesięczniki warszawskie („Ate-neum“, „Biblioteka warszawska“), zaś wielką popularnością cieszyły się zwłaszcza tygodniowe wydawnictwa: „Tygodnik Ilustrowany“, „Kraj“ czy „Świat“. A że sprawy Królestwa z polskich spraw więcej naturalnie w nich miejsca zajmowały, więc też do poznania Królestwa sporo się one przyczyniały. W części zaś znowu oddziaływały korespondencje do pism galicyjskich, choć tylko przygodne. Pisały one zwłaszcza o tem, o czem na miejscu pisać nie pozwalała cenzura: o narodowym życiu, o jego wysiłkach i ucisku.

Tak Galicya o Królestwie wiedziała więcej, niż Królestwo o Galicyi. Ale jednak—jak o tem przekonaliśmy się w ciągu wojny, wiedziała przecież—za mało, dużo za mało. Jeśli pytamy, czemu?, to odpowiedź brzmieć będzie chyba tak, iż nie o wszystkim się pisało, bo nie o wszystkim można było pisać, lub też nie zwracano uwagi na pewne działy, gdy np. zajmowano się duszą inteligentnego ogółu, a nie duszą włościanina, który tam w Królestwie nie miał gdzie odzywać się sam głośno, więc przedstawiał się jakby bierna masa, nie mającą swojego sądu, swoich myśli własnych; a nadto pewne zdania i twierdzenia braliśmy zbyt dosłownie, tłumacząc je tradycyjnie od lat tak samo, gdy w tej duszy polskiej Królestwa dokonywały się różne przewroty pod wpływem hasła pozytywizmu, pracy organicznej, rewolucyi rosyjskiej, czy wieści, które tam z innych przychodziły polskich dzielnic. Przedstawiał nam się ten królewski zawsze jako ten z lat powstań, uczuciem się kierujący, gotowy iść z kosą na armaty, jeśli

mu zagrają Dąbrowskiego mazurka. A jeśli się zna nawet prądy, które społeczeństwo nurtują, to gdy niejednen prąd dominuje, nie łatwą rzeczą ocenić, który z tych prądów silniejszy, który górą będzie, gdy one już nie mogą płynąć obok siebie, ale jeden musi drugiemu ustąpić. Jakie wtedy zwyciężą nadzieje, jakie obawy, które sympatyje czy antypatyje okażą się mocniejsze? Tem trudniej zaś dać odpowiedź, jeśli to o nasze społeczeństwo chodzi, w którym siłą jeszcze ciągle znaczną i uczucie, a tak miary znaleźć niepodobna na określenie jego wrażliwości.

W niejednem więc pomyliliśmy się. I byli tacy, którzy, zamiast przyznać się do winy, że nie starali się poznać tamtego społeczeństwa, lub do błędu, że źle go poznali, gniewać się poczęli — ale nie na siebie, jakby się spodziewać należało, lecz na tych, którzy inni byli, niż ich osądzili. Gniewem — nie pomogli sprawie, której bronili, boć gniew — nikogo nigdy nie przekona. Próbowali i przekonywać; lecz jak przekonać, jeśli się nie zna psychologii tego, do kogo się mówi? Jeden błąd — drugi za sobą pociągał. Czy nie lepiej było — starać się poznać, zrozumieć? Czy nie łatwiej byłoby wtedy znaleźć argumenty takie, które — przekonają?

Do wytłumaczenia niektórych momentów psychologii Królestwa chcę tu jeszcze dorzucić słów trochę. Oczywiście — ułamkowe to tylko spostrzeżenia. Ale z ułamków może kiedyś i całość da się złożyć.

4. Energia Królestwa i jej podstawy.

Kiedy zbrojne szeregi pod parciem mocarstw centralnych zaczęły się cofać, jak fale morza w czasie odpływu, i ukazywały nam się coraz szersze rozmiary — ładu Królestwa Polskiego, zobaczyły oczy nasze ze zdumieniem, iż na tym łądzie, którego poprzednio, przed wojną, broniły placówki z wyłączenie rosyjskiego ducha wyrosłe, stoją placówki inne, amantowo-białą zdobne kokardą. Jaki to cud stał się, iż one, te komitety różne z komitetem centralnym na czele, taką okazały odrazu energię w działaniu, w organizowaniu życia rozległego szmatu ziemi polskiej? Skąd ci ludzie nauczyli się tego, by bez nakazu żadnego umieć stworzyć administracyę z sądami nawet? Jak ci ludzie zdołali stworzyć szeregi szkół, zorganizować w ciągu tygodnia czy dwu uniwersytet? A stało się to bez jazu do stolicy i audyencyi u panów ministrów, bez ankiet i przyjazdu na miejsce panów ministrów, nawet bez —



subwencji! Czyż można to zrozumieć: bez subwencji! — a na wszystko znalazły się pieniądze.

Obstupuerunt omnes — przypomniały się słowa, z gimnazjum zapamiętane. Tej energii nie umiano sobie wytłumaczyć. Dziś już przywykliśmy do niej, ale długo budziła ona podziw nieklamany w całej Galicyi. Jakże nieporadną w stosunku do Królestwa była ta część Galicyi, którą objął rosyjski zalew.

Czemże tłumaczyć tę tężyźnę życia Królestwa?

Już taki to los działalności ludzkiej, iż najmądrzej obmyślane zamiary inny często wywierają skutek, niż ten, jaki był celem dla wnioskodawców. My kiedyś, w lepszej — bodaj — przyszłości będziemy może z rozrzewnieniem i wdzięcznością wspominać dzikie wybryki szowinizmu narodowego, który przeciw nam się zwracał, że nam dały cnoty, których nie mieliśmy, choć tak bardzo były narodowi potrzebne. Ucisk, chęć wyparcia nas z siedlisk odwiecznych, budziły przecież masy ludności na pół ledwie lub nawet całkiem nieuświadomionej do życia narodowego, do zrozumienia przynależności do Polski, polakami czyniły polskich chłopów piastowskich czy podlaskich unitów. I tak właśnie było w Królestwie.

Najbardziej biernym, życiowo nieporadnym czynnikiem w społeczeństwie jest świat urzędniczy. Z płacy żyjący, ledwie na życie zwykle dostatecznej, o tę płacę więc dbali, o to, by nie stracić jedyne go punktu oparcia bytu i zapewnienia starości przez emeryturę, gdy przecież złożyć nic nie mogą, urzędnicy przywykli do tego, że mają spełnić to, co im nakazano, że mają być wykonawcami prawa czy poleceń władzy. Poza życia jednak przez to stoją walkami, trzymając się tego sznura: płacy, bo jeśli on z ręki im się wymknie, utonąć chyba przyjdzie. Życiowo nieporadna to warstwa. A w Galicyi narodowe życie w ostatnich lat dziesiątkach oparło się właśnie o tę warstwę, tak tu szeroką, urzędników - polaków, reprezentujących liczebnie chyba czynnik najsilniejszy w publicznem życiu, o ile chodzi o wyższą inteligencję, która — rzecz jasna — naród prowadzić musi.

W tym czynniku niema dość energii w Galicyi. Ale energii tej nie ma także w czynnikach innych. Nie rozwinął się w Galicji przemysł i handel. Ten handel i przemysł, który jest, w dużej mierze w niepolskich znajduje się rękach. O ile zaś jest polskim, to cierpi także na brak energii, inicjatywy, siły twórczej. Częściowo tego przyczyną jego młodość, brak wyrobienia, trudne warunki rozwoju, częściowo przyczyna wspólna z całą Austrią: zbytne ograniczanie swobody życia gospodarczego. Wprost silnie przeciwstawiają się sobie pod tym wzglę-

dem Austria i Prusy. Prus cechą silne ujęcie kierownictwa politycznego narodu przez rząd, który w ramach ciasnej konstytucji pruskiej pozostał czynnikiem kierującym w społeczeństwie przez swoją sprężystą administrację; zato w dziedzinie gospodarczej Prusy już od początków XIX stulecia weszły na drogę oswobodzenia ludności od więzów z średniowiecza jeszcze przekazanych ograniczeń indywidualnych wysiłków, otwarcia na ścieżaj bramy zdolnościom, sprytowi życiowemu, wydatnej pracy. Naodwrot w Austrii. O wiele przewyższyła ona Prusy wolnością swej liberalnej konstytucji, zrzekła się myśli kierowania przez rząd społeczeństwa, zato w dziedzinie gospodarczego bytu pozostała przy długich szeregach zastarzałych przepisów o związkach cechowych—choć bez ich nazwy, dowodach uzdolnienia, koncesyach i t. d., a jeszcze w ostatnich nawet czasach zacieśniała te postanowienia (np. dowód uzdolnienia w handlu, na szczęście nie zastosowany do Galicji). Temu gospodarczemu niewyrobieniu głównie przypisać należy cofanie się siły konkurencyjnej Austrii w stosunku do handlu i przemysłu zwłaszcza Niemiec. Oczywiście, że te właściwości na Galicję oddziaływały.

Tak energii niema w Galicji urzędnik, przemysłowiec, kupiec czy rzemieślnik. Niema jej i rolnik, który z natury rzeczy nie może tej przedsiębiorczości rozwijać, jaką może posiadać kupiec czy przemysłowiec. Opieka, jaką tę warstwę w pewnej mierze otaczano, do podniesienia energii się nie przyczyniała, gdy przyuczała ją na państwo się ciągle oglądać.

Stąd to w Galicji cechą małą życiowa energia, stąd czekanie ciągle na inicjatywę państwa, które ze struktury do silnej inicjatywy nie ma warunków. Zamiast własnymi siłami, jednostek czy ludzi społem związanych, dążyć do osiągnięcia celu, narzekania, że rząd tego, owego nie robi, prośby ciągle pod rządu adresem, a często—opuszczanie rąk tam, gdzie ręce mogły być dużo zrobić, gdyby głowa swoje pełniła funkcje, a nie pograżała się tylko w bezpłodne rozmyślanie, czy da-da—subwencję i t. d. A niestety tej psychologii nie umiano przeciwdziałać wychowaniem społeczeństwa, wychowaniem, któreby w nie więcej wlewało tężyzny.

W Królestwie wypędzono nas z urzędów po prostu zupełnie. Wypędzono po powstaniu styczniowym z administracji, która była całą prawie polską, gdy Wielopolski wyczyścił ją tak zgrabnie z tych żywiołów, które już poprzednio napłynęły; wypędzono ze szkolnictwa wyższego i średniego, częściowo nawet z ludowego; po reformie sądowej z r. 1876 wypędzono z sądownictwa prócz z sądów gminnych. Pozostało trochę pod-

rzędnych urzędów w rękach polskich oraz magistrackie urzędy. Niewiele to więc, prawie że nic.

Trzeba było szukać innego wyłącznie chleba — takiego bez stałej płacy. A że na nasze szczęście rozwijało się Królestwo gospodarczo, tego chleba nie brakło: w przemyśle, handlu, bankach, adwokaturze, medycynie, rzemiośle i t. d. Szlachcic już poprzednio, z życia publicznego wypędzony po powstaniu listopadowem, wziął się na seryo do roli i przetrzymał dobrze nawet uwłaszczenie z r. 1864, w tak niekorzystny sposób dla niego przeprowadzone, fachowcem się stał, czego nie nauczył się dotąd jeszcze w dostatecznej mierze galicyjski ziemianin, polityką zbyt żywo zajęty.

Ale nietylko czoło narodu, inteligencja, musiała żyć bez pracy stałej; wszystkie inne zawody zdane były na własne siły i wyłącznie własne. Nie było co myśleć o pomocy ze strony wrogiego rządu; nie dałby był jej mimo deputacyi, wyczekiwania godzinami w przedpokojach ministrów. Trzeba było liczyć tylko na siebie, na swoją zdolność życiową. Ten wyżyje, kto tęższym się okaże. A pole dla rozwoju tej energii rozwarło się szerokie, gdy można było iść z nią i na olbrzymie obszary rosyjskiego imperyum, po Turkestan i Mandżurję. I to była dla inteligencji Królestwa doskonała szkoła życia, twarda — to prawda, ale wyrabiająca — podobnie w dużej mierze, jak w Pożnańskim — hart tego życia.

Ten hart, ta energia, tak Galicyę niedawno w zdumienie wprowadziły.

5. Prawa języka polskiego w Królestwie.

Dla zrozumienia nastrojów Królestwa Polskiego ważną rzeczą ocenić i zważyć siłę rosyjskości w kraju, zestawiać prawa ludności rdzennej, polskiej, tak jak one przedstawiają się dziś, po epoce rewolucyi i konstytucyi rosyjskiej. Pod tym względem niejedno u nas mniemanie błędne lub nie dość ściśle.

Statystyka z r. 1913 wykazuje w Królestwie jako całości 37% cywilnej (t. j. bez wojska) ludności prawosławnej; mieszczą się w tem jednak i rusini w Lubelskiej i Siedleckiej gubernii. Jeśli na boku zostawimy te dwie gubernie, to procent ludności prawosławnej, t. j. więc rosyjskiej, bardzo zmaleje; w pięciu guberniach niema nawet 1% prawosławnych, w innych niewiele więcej, nawet w warszawskiej, w której osiadły liczne władze centralne z rodzinami, ledwie 1.8% oni czynią.

Złudzeniem więc pozorna rosyjska szata linii kolejowych,

wyglądu ulic przez szyldy rosyjskie i t. d. Ta pompa, tłocząca od powstania z Rosyi do Królestwa rosyjskie żywioły, przecież na ilość niewiele ich tu potrafiła wtłoczyć; przecież żydów w Królestwie tylu więcej, niż rosjan (15%), więcej nawet od nich niemców (4 $\frac{3}{4}$ %). Kto się też zetknął nietylko z koleją w Królestwie, nietylko z Warszawą, na której buńczucznie rozpierał się mundur i szynel rosyjski, to widział i czuł, że ci rosjanie — to tylko mętna piana po wierzchu; zdmuchnęła ją wojna bez śladu.

Ale ten procentowo nieliczny żywioł rosyjski władał w kraju; on uchwycił w swoje ręce całą administracyę, wyższe sądownictwo, w dużej mierze szkolnictwo. Najeżdźca narzucał ludności swój język, który stał się urzędowym dla władz, sądów, szkół, kolei, nawet dla instytucyi prywatnych. Lecz jednak nie bezwzględnie. I przed rewolucyą rosyjską pozostały pewne — niewielkie zresztą — dziedziny, w których języka polskiego wyrwać się ludności nie dało. Przejdźmy je po kolei.

W administracyjnych władzach już ostatecznie w r. 1868 stał się język rosyjski urzędowym zarówno jako język służby wewnętrznej, jak i urzędowy na zewnątrz, t. j. język, w którym do ludności władza mówiła, i w którym ludność mówić i pisać musiała do władzy. Nie tyczył się jednak ten przepis miast i gmin wiejskich. Bez przepisu ustawodawczego, drogą różnego rodzaju okólników nawet podrzędnych władz lub wprost drogą faktu, wprowadzono go jednak do magistratów miejskich, a w gminach wiejskich do korespondencyi organów gminnych między sobą, np. wójta z sołtysem, do ksiąg i uchwał gminnych; jednakże przecież nie zdołano języka polskiego usunąć doszczętnie, gdy ludność wiejska rosyjskiego języka — z wyjątkami — nie rozumiała i nie rozumie do dziś. Pozostał więc język polski, jako język obrad w gminie, t. j. język zebrani gminnych i gromadzkich, oraz jako język, w którym ludność zwracała się do władz gminnych. To jeden był kąt życia państwowego, w którym przecież wolno było przemawiać po polsku.

Drugi — w sądownictwie się znalazł; znowu z konieczności tu trzeba było uznać prawa polskiego języka, jeśli cała instytucya, którą wprowadzano, nie miała stracić wszelkiego znaczenia. Rosyjski język wtargnął do sądów przy wielkiej reformie sądownictwa, którą przeprowadził rząd rosyjski w r. 1876. Nadawał Królestwu ten ustrój, jaki już był w cesarstwie, tylko okrojony z różnych stron, gdzie tylko można było okrajać jaką instytucyę, choć trochę dającą społeczeństwu praw. Ale nie sposób było obciąć cały dział tego ustroju: sądy gminne. W ce-

sarstwie sądy te, sądami pokoju zwane, wszędzie oddano w ręce wybieranych sędziów. W Polsce w miastach wprowadzono sędziów pokoju, ale nominowanych, z pośród rosjan więc wyznaczanych: z wolnym wyborem sędziów wprowadzono te sądy tylko dla wsi i osad miejskich, nazwę im dając sądów gminnych. Nizki był cenzus, przepisany dla sędziego gminnego z wyboru, mógł nim zostać i włościanin. Już choćby ze względu na to, by włościanom, stale protegowanym przeciw szlachcie, nie zamknąć drogi do tej godności, trzeba było polski język zostawić w tych sądach. I cóż zresztą te sądy dla spraw drobnych stworzone, miałyby za rację bytu, gdyby nie mogła w nich ludność po polsku mówić? Więc język polski zostawiono w nich, a to dla rozpraw, jak i dla wszelkich aktów, wnoszonych do sądu, gdy jednak sąd, o ile pisma używa, po rosyjsku miał pisać. W praktyce, wbrew prawu, wprowadzono zasadę używania języka rosyjskiego także do pism, do sądu wnoszonych. Język polski pozostał więc o tyle, o ile chodziło o ustne stosunki sądu i stron.

Dozwolono jednak nadto w r. 1876 na używanie języka polskiego w obradach rad rodzinnych i zarządów upadłości, i to się utrzymało.

W szkole język polski został też prawie usunięty. Od r. 1869 zniknął z uniwersytetu, a w szkołach średnich ostał się tylko jako przedmiot nauki, i to po rosyjsku wykładany, oraz w nauce religii. A nawet w szkole ludowej stał on się wykładowym, tylko nieco później, bo w r. 1885; jedynie naukę religii w ojczystym zostawiono języku. Nizko stojąca szkoła — a przecież nawet tej w przeważnej ilości wsi brakowało — nie potrafiła do dziś włościan po rosyjsku nauczyć.

Tak było do rewolucyi i konstytucyi. Nadzieje, że ten stan ulegnie zmianie, zawiodły. Stłumiono karami ruch za polską szkołą ludową, za używaniem w pełni języka polskiego w gminach. Pewne jednak ustępstwa — choć nieznaczne — ta epoka przyniosła dla polskiego języka.

W sądownictwie — żadnej nie przeprowadzono zmiany. Toż w administracyi państwowej. Co do gminy, to postanowienie komitetu ministrów z r. 1905 uznało, że język polski jest językiem obrad, dopuściło jego używania w stosunkach urzędów gminnych między sobą, a co do języka ksiąg gminnych orzekło, że mają być po rosyjsku, ewentualnie obok polskiego, prowadzone te księgi, które ulegają kontroli rządu, gdy inne mogą być wyłącznie polskie. Drobna to więc korektura, przy której sankcjonowano bezprawne poprzednie wprowadzenie języka rosyjskiego w pewną część czynności gminnych.

Rosyjskimi pozostały: uniwersytet i szkoły średnie. Dopuszczono w r. 1905 do tworzenia prywatnych szkół z językiem wykładowym polskim. Na tej podstawie powstały tak liczne prywatne polskie szkoły średnie, bez praw zresztą. Tę koncesję ograniczono jednak jeszcze następnie. W r. 1905 zastrzeżono, iż w tych szkołach po rosyjsku mają uczyć języka rosyjskiego, geografii i historii Rosyi. W pięć lat później jednak nakazano uczyć po rosyjsku całej geografii i całej historii. W szkołach ludowych jednoklasowych i pierwszych klasach innych szkół mógł minister dozwolić, by przy rachunkach używano języka polskiego; lecz w roku 1908 wyraźnie minister orzekł, że tylko pomocniczo polskiego języka przy tym przedmiocie używać należy. Na papierze zaś został przepis z r. 1906, że uczniów należy zaznajamiać z faktami z polskiej historii.

Tak więc rozmiar praw języka polskiego w Królestwie w urzędzie, sądzie i szkole także w dobie konstytucyjnej bardzo pozostał skąpy, choć o odrobinę — ale tylko o odrobinę — rozszerzony. Minimalny on, jeśli się Królestwo zestawia z Galicyą, gdzie język polski jest językiem władz, i to także wewnętrznym, sądu i szkoły, — prawie że w całej pełni. Jednakże przy ocenie psychologii Królestwa trzeba tu brać na uwagę, że są dzielnice Polski, gdzie polski język nawet tych drobnych praw nie ma, gdzie go nie wolno używać zgoła ani w sądzie, ani w urzędzie, ani w szkole, choćby prywatnej, nawet nieraz przy nauce religii.

I trzeba też przy ocenie psychologii Królestwa o tem pamiętać, że Rosyan było ledwie koło 1% w kraju, i że z pośród żydów tylko część pewna do rosyjskiej przyznawała się narodowości i rosyjskiego używała języka.

6. Rząd rosyjski wobec włościan Królestwa.

Nie przeprowadził w Królestwie uwłaszczenia włościan Wielopolski, mimo że za niem opowiedziało się Towarzystwo rolnicze, ogół prawie szlachty w sobie skupiające. Głosiło uwłaszczenie powstanie styczniowe, ale nie mogło przeprowadzić swoich zarządzeń; tam, gdzie głosu jego słuchano, Rosya wprost temu przeciwdziałała. Dopiero po powstaniu przeprowadzili uwłaszczenie liberali rosyjscy z Milutinem na czele. Ale — jak przeprowadzili! O niezbędności reformy przekonani byli wszyscy; wszakże już Rosya trzy lata wcześniej przeprowadziła je w innych swoich prowincjach. W Królestwie miało ono służyć nie tyle gospodarczym, co politycznym celom; ko-

mitet zarządzający, który prowadził tę akcję, głosił wyraźnie, iż włościanstwo ma się stać „tarczą przeciw dążnościom rewolucyjnym szlachty“. Rosya narzucała się polskiemu włościaninowi na opiekuna, a symbolem miał być pomnik, w Częstochowie wystawiony, cara Aleksandra, „oswobodziciela“ włościan.

Przeprowadzono uwłaszczenie w sposób jak najkorzystniejszy dla włościanina. Dziś, gdy widzi się tak dobrze znaczenie silnego stanu włościan, tego niktby nie potępiał. Nie chodzi też i o to, że „dziedziców“ tak marnie odszkodowano. Ale przy przeprowadzaniu uwłaszczenia ze świadomością nie uregulowano tych kwestyi, które trzeba było uregulować, jeśli miały między chatą i dworem ułożyć się spokojnie nowe stosunki; trzeba było przeprowadzić separację, t. j. usunięcie szachownic pól dworskich i chłopskich, oraz serwitutów, obciążających dworskie grunty na korzyść włościan. Nieuregulowane też do dziś jeszcze pozostały w Królestwie te kwestye, bo na straży stali ustanowieni przy uwłaszczeniu włościanscy komisarze, rosianie, by przeszkadzać ugodzie, by zarzewie niezgody między dworem a wsią nie wygasło za prędko. Po stronie włościanina w sporze stawał prawie zawsze komisarz włościański, by okazać, jaką on go otacza opieką. I ciągle mu to przypominano, że to car go oswobodził od pańszczyzny, rolę dał na własność, wożono do Petersburga, by dziękował za te łaski, dwa lata temu uroczystości w całym zainscenizowano kraju, by przypomnieć pięćdziesięciolecie manifestu o uwłaszczeniu z roku 1864. Liczono na to, że tem wdzięczność dla cara budzić się będzie, że przecież uwierzą włościanie powtarzanej piosence, gdy z panami ich się kłócić będzie, oświata prawie żadna, strona przeciwna zaś pozbawiona możności wytłumaczenia włościanom, ile w tem postępowaniu chytrności, obłudy, kłamstwa.

Ale rok 1864 nietylko dał uwłaszczenie; on dał Królestwu urządzenie gminy wiejskiej. Za podstawę wzięto projekt Wielopolskiego; lecz popsuto go — znowu z politycznych celów. Usunięto od udziału w gminie całą inteligencję, którą wprowadzić chciał do niej Wielopolski; tylko tym prawa przyznano, którzy mają 3 morgi gruntu. A więc weszli do gminy włościanie masą, w liczbie kilkuset wobec rozległości gminy, obejmującej w Królestwie kilka wsi i folwarków; obok włościan zaś weszli w liczbie kilku właściciele folwarków, a więc oczywiście bezsilni zupełnie, utopieni w masie. Księżda wyłączono od udziału, choćby nawet miał trzy morgi. Skreślono też — rady gminne, które projektował Wielopolski, a ich funkcye od-

dano zgromadzeniu gminnemu, więc sejmikowi wszystkich trójmorgowych posiadaczy. Jakże miało obradować takie zgromadzenie, zbierające się zwykle pod gołym niebem? Stało się igraszką w rękach wójta. Na wójta jednak prawie nie trzeba było kwalifikacyi, boć nim zostać mógł każdy chrześcijanin, w gminie 6 morgów mający. Wobec niechęci włościan do panów przeważnie z włościan wybierano wójtów, np. przy pierwszych wyborach 78%. Wójt mógł być — i bywał — niepiśmieniem, nawet czytać nieraz nie umiał, zwłaszcza po rosyjsku. Wójt więc rządził zgromadzeniem i gminą, a wójtem — piśmienny pisarz gminny, umiejący odczytywać „ruskie“, umiejący nieraz odczytać nawet to, czego w piśmie — nie było. Pisarza miała sama gmina wybierać — ale w praktyce nominował go naczelnik powiatu. Tak więc ostatecznie obok pisarza naczelnik powiatu gminą rządził. Jaki był duch tego rządu — chyba nie potrzeba mówić.

Gminie przyznała ustawa szeroki zakres działalności, bardzo też szerokie prawa nakładania podatków i opłat. W praktyce — nie umiano z tego korzystać, a i nie chciano. Poco drogę naprawiać, budować szkołę i t. d., gdy to kosztuje; lepiej nie płacić składki od morga prawie że jedynej, bardzo niekunsztownej formy gminnego podatku. Poco nakłaniać do tego włościan? Rządowi na oświacie nie zależało, nie zależało na dobrych drogach, na bezpieczeństwie od ognia, na sanitarnych urządzeniach i t. d. Robił włościanin, co chciał, t. j. w praktyce nie robił prawie nic, jak dowodzą zwłaszcza doskonałe prace o działalności tych gmin Łapickiego i Konica. Gdziekolwiek tylko było lepiej dzięki t. zw. pełnomocnikom gminy, z właścicieli dóbr zwykle wybieranym, i to dopiero w ostatnich latach, gdy żywszy ruch się obudził na wsi, jak np. po ogłoszeniu konstytucyi, za szkołą polską. O ileż więcej zrobiła mała, biedna gmina galicyjska, ograniczona do jednej wioski bez obszaru dworskiego, mogąca tylko dodatki nakładać do podatków rządowych.

Wygodnie więc było włościanom, których opieką otaczał rząd w sporach z dziedzicami, a do kultury nie zmuszał, byle go w przychylności dla rządu utrzymywać.

Smutną kartę w dziejach Królestwa będą miały te rządy rosyjskiej biurokracyi. Dziwna, że ten włościanin przecież nie uległ demoralizacyi, że przecież do dziś rosyan, jako obcych, uważa, obcych krajowi i społeczeństwu; zasługą to będzie złotem zapisaną tych dworów i plebanii, które w takich warunkach potrafiły choć częściowo paraliżować rosyjskie wpływy.

7. Znaczenie Warszawy w życiu publicznem.

Jeśli Galicyę uderzała olbrzymia zaradność Królestwa, opuszczonego przez tych, którzy w niem rządili, zostawionego samemu sobie, to mimowoli wielu znowu dziwiła polityczna bierność zajętych przez państwa sprzymierzone obszarów. Ani w części, zajętej przez Niemcy, ani w tej, która się Austrii dostała, nie można było zauważyć — z wyjątkiem Lublina — prób sformułowania samodzielnego programu, jak się zachować wobec zmienionych warunków. Jeśli zapytać o powód tego, to znajdziemy go — w oczekiwaniu głosów Warszawy. Królestwo, bez Warszawy radzące sobie gospodarczo bardzo dobrze, bo oparte na tej szkole, jaką dawała praktyka życia rolnictwa, handlu czy rzemiosła, ono tej Warszawy potrzebowało koniecznie, gdy miało myśleć politycznie.

Polityka była obcą Królestwu lat wiele, bo z kimże politykować i w jaki sposób, gdy pan kraju powtarzał, iż żąda zdania się na łaskę i niełaskę, przejęcia się ideą rosyjskiej państwowości, rosyjskim duchem, a wtedy — będzie mówił. Tylko — z kimże wtedy miałby mówić? Spóźnioną trochę byłaby rozmowa. Trudno za politykę uważać wysiłki t. zw. ugodowców, którzy przypominali gadkę o dziadzie i obrazie, trudno polityką też nazywać podziemną robotę socjalistyczną, ciągle przerywaną, gdy odkrywała zakładane miny żandarmerya i ochrana. Dopiero ostatni dziesięć lat — okres konstytucyi, choć takiej, jak ta rosyjska z r. 1905 — stworzył warunki dla jakiejś politycznej pracy, dla powstania programów politycznych i stronnictw. Lat 10 — to nie wiele, a przytem bieg wypadków, nawrót ku reakcyi w Rosyi, ścieśnienie prawa stowarzyszeń i zgromadzeń, bardzo marnego z natury, jeszcze przez stany wyjątkowe, zmniejszenie w r. 1907 posłów polaków w Dumie z 34 na 12, zapął do polityki, taki wybuchowy w Królestwie, iż nas aż przerażał ilością wieców, długością ich trwania, skalą wieku biorących w nich udział, gdy omal niemowlat na nie nie prowadzono, zapął ten zgaśł prawie zupełnie. Ostały się stronnictwa, liczebnie nieliczne, liczące głównie na — sympatyków, t. j. bezpartyjnych, chwiejących się raz w jedną, to w drugą znów stronę.

W takich warunkach niewielu polityką się zajmowało i zajmować mogło czy chciało. Życie polityczne Królestwa stało jednostkami, wodzami, tworzącymi programy, a wiarą szerokich mas w wodzów, więcej w ich osoby i tych osób osobiste wartości i zdolności, niż w program, zwłaszcza gdy w programie nie wszystko można było pisać. Tak jest wszę-

dzie, gdzie życie publiczne dopiero się budzi, że stoi ono programami jednostek, nie zapatrywaniem masy, które w program się przerabia. A pamiętać trzeba i o tem, że życia publicznego nie było poprzednio w Królestwie nawet w formie samorządu, gdy nie miały go miasta, powiaty i gubernie, a wiejska gmina, spaczona, też się do wyrabiania społecznego mas nie przyczyniała. Taki stan początkowego politycznego rozbudzenia sprawia też zawsze, że zmiana programu jest łatwa, że masy też łatwo na zmianę się godzą, gdy wierzą w polityczny autorytet, a ten autorytet — w początkach pracy publicznej — nieraz bądź błędzi i sam poprawia się, bądź częściami opanowuje dopiero pole swej pracy.

Gdy więc wojna przyniosła z sobą przedewszystkiem polityczne zagadnienia, wzrok Królestwa zwracał się ku nielicznym przywódcom, by od nich dostać naukę, a tej nauki tem więcej pragnął, iż problem do rozwiązania taki ciężki, iż tyle wiedziećby trzeba rzeczy, które, przed masą zakryte, dla nielicznych dostępne oczu.

A tymczasem kordon wojsk, i to podwójny, odciął te części zajęte już Królestwa od ich przywódców; odciął ich bowiem od Warszawy.

Tę polityczną bezradność Królestwa już okupowanego z czasów przed sierpniem 1915 r. obok trudności problemu tłumaczy to od Warszawy oddzielenie, od głowy, która za Królestwo myśli. Bo w Królestwie zgola inaczej ułożył się rozkład sił intelektualnych, niż w Galicyi. Przywykliśmy tu szukać myśli narodowej w miastach, Krakowie i Lwowie głównie, ale i w innych także, mniejszych, które też żyją, też myślą, nie wegetują tylko. W Królestwie myśli Warszawa bardzo intensywnie, bo prawie sama za cały kraj myśleć musi. Pomaga jej w tej pracy wieś, raczej ściślej mówiąc: polski dwór wiejski, tam dużo żywotniejszy, niż w Galicyi, dużo silniej podtrzymujący puls narodowego życia. Miasta Królestwa, nawet duże, takie jak Łódź, Częstochowa, tembardziej Radom, Płock, Włocławek, Kielce, nie mówiąc już o małych, prawie że wyłącznie żydowskich, pod względem działalności myślowej ustępują dużo nawet o wiele mniejszym miastom galicyjskim w rodzaju Przemyśla, Tarnowa i t. d. Żywsze tętno życia wogóle zaznacza się w Królestwie — poza fabrycznymi miastami i osadami — w miastach wyłącznie gubernialnych, a takich tam tylko dziesięć; w tych miastach siedziba władzy administracyjnej, gubernatora — władza powiatowa nie ma tam bowiem prawie znaczenia, z drobnymi nawet sprawami do gubernium jechać trzeba; w tych miastach sądy okręgowe, za-

łatwiające wszystkie ważniejsze sprawy, gdy drobne rozstrzyga sędzia gminny, w kadencyach tylko urzędujący, nie stale, nawet, nie koniecznie w miasteczku, ale często na wsi; w tych miastach jedynie hipoteka, w nich—ze względu na hipotekę—reprezentacya Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego; w tych tylko miastach adwokaci, których poza niemi nie spotkać po prostu, a ze względu na te władze tu zjazdy różne, tu instytucye bankowe i t. d. i t. d. Takiej różnicy między miastami nie zna Galicya, gdzie można je w nieprzerwany szereg ułożyć, od największych do najmniejszych, tak, że między zbliżonemi w szeregu nie czuć różnic. Zasiana Galicya starostwami, gdyż ich jest 81, radami powiatowemi, mniej więcej w tej liczbie, sądami powiatowymi, których aż 190 liczy, a w każdym powiatowem mieście hipoteka, kilku adwokatów, rejent, często gimnazyum i t. d.

W Galicyi więc w tych wszystkich większych miastach jest znaczna ilość inteligencyi, oczywiście prawie wyłącznie, przynajmniej przeważnie, urzędniczej. Jest to więc już pewien ośrodek życia publicznego, zwłaszcza przy samorządzie miasta i powiatu, przy częstych różnych wyborach; co prawda — niezawsze dość w tych miastach naprawdę życia czynnego, za dużo apatii, bierności. W Królestwie w miastach gubernialnych żywił urzędniczy cały—rosyjski, bez znaczenia dla polskości; reszta—to niewielka grupka adwokatów, lekarzy i t. d. A żywił ziemiański wzmacnia te miasta tylko dojazdami, więc dorywczo, silniej jedynie w czasie zjazdów. Większego handlu, przemysłu, właśnie te miasta nie mają, czy to jest położony na uboczu, nad granicą, do niedawna bez kolei, Kalisz, omal że niedostępny Płock, do którego—końmi lub Wisłą dostać się tylko można, a Wisła nieraz zamarza, nie za górami wprawdzie, ale za lasami śpiąca cicho Łomża i t. d. Jeden Lublin bardziej ożywiony, to też on w czasie wojny z miast Królestwa jedynie zaznaczył silniej swoją indywidualność, jak zaznaczał nieco nawet i w pokoju czasach. Inne większe miasta — to znowu fabryczne osady, na centra ruchu umysłowego nie nadające się, gdy do niego nie usposabia dobrze świst syren fabrycznych i dźwięk złota, co najjaskrawiej na potężnej zaznacza się Łódź.

Z tych to przyczyn zajęła Warszawa takie dominujące stanowisko w umysłowości Królestwa, podobnie jak Paryż we Francyi, wobec którego nic nie znaczą setki tysięcy nawet liczące miasta, jak Lille, Bordeaux i t. d. Nie dobry to objaw; zbytnia centralizacya osłabia kraj, gdy jedno miasto staje się jego mózgiem, sercem i nerwami, a nawet żołądkiem. Dużo

zdrowiej, jeśli ośrodków publicznego życia szereg cały, jak np. w tak bogato pod tym względem uposażonych Niemczech lub Włoszech, a również—z innych powodów—w Austrii. Miejmy nadzieję, iż w innych, normalnych warunkach bytu, i w Królestwie takie centra się wytworzą, że nie tylko Lublin będzie koło Warszawy swoją zaznaczał duchową fizyognomię. Jakże—co w czasie wojny także można było obserwować—zdrową dla Galicyi rzeczą, że obok stolicy kraju, Lwowa, drugim centrum jest Kraków. I znowu wojna poucza na przykładzie Francyi, jak niebezpieczny przerost jednego miasta, gdy możliwość upadku Paryża przedstawia się jako całej Francyi upadek.

Więc Królestwo potrzebowało Warszawy, bo tylko ta Warszawa mogła dać dyrektywę, bo tam przebywali jego przywódcy duchowi, którym wierzy, za którymi szło i pójdzie. Dlatego głos Warszawy ma takie decydujące znaczenie.

* * *

Kilka to tylko uwag. Można by ich dużo więcej podać w psychologii Królestwa. Ale te może najaktualniejszych stron jego życia tyczą. Jeśli spostrzeżenia moje nie wszystkie słuszne, to niech je inni poprawią. Nie będę się gniewał, chętnie argumentom ustąpię, brany z lepszej znajomości obu dzielnic, niż ja ją posiadam, lub też opartym na przenikliwszej obserwacyi obu dzielnic. Wyznaję — nie znam całego Królestwa, ale tylko części jego, a i ze społeczeństwa Królestwa nie wszystkie jego odłamy. Zadowolenie da mi wielkie, jeśli te moje uwagi pobudzą królewików, by chcieli przyjrzeć się lepiej naszemu życiu, by poznali, żeśmy pracowali, żeśmy naprawdę coś zrobili, a jeśli nie wszystko, to że niejedno na nasze możemy przytoczyć usprawiedliwienie, — i jeśli naodwrot galicyanie zechcą sięgnąć do tych książek, które o Królestwie mówią. W jego historyi zwłaszcza tyle takich ładnych znajdują ustępów. Zadowolenie mi to sprawi, jeśli tem przyczynię się, iż zaczniemy się znowu choć trochę znać lepiej, nie tylko kochać przy serdecznych toastach. Bo kochanie bez poznania się prawdziwego — do trwałej nie starczy miłości.

Wrażenia z Warszawy.

(Maj 1915 r.).

Zbliżam się do Szczakowy. Nowy, wygodny wagon austriackiej kolei północnej z napisem: Wien—Warschau wiezie mnie, jak w przedwojennych czasach, tak niedawnych, a tak jakoś dziwnie dawnych, do stolicy Polski, Warszawy.

Co w niej usłyszę? Jakie wyczuję drgnienia serc? Jakie wyczytam myśli? Jak się moim oczom przedstawi w nowe przybrana szaty Warszawa? Czy odnajdę tam wszystkich przyjaciół moich i znajomych? Czy porozumieć się z nimi będę mógł, jak przed dwoma laty, szczerze i po prostu mówiąc, co myślę i czuję?

A tymczasem przeglądam papiery, by stwierdzić jeszcze raz, czy są wszystkie, czy nie utknę w drodze. A więc papiery wojskowe w porządku; jako jeden z tych, którzy jeszcze raz do poboru stawać mają, nieomieszkalem zgłosić wyjazdu w magistracie, co mi stwierdzono urzędownie. W porządku austriacki paszport, wydany na wyjazd do Warszawy, z wpisaniem pozwoleniem c. i k. komendy twierdzy na jednorazowe przekroczenie granicy, oraz z poświadczeniem ze strony miejscowego urzędu zdrowia, że jestem wolny od zaraźliwej choroby i od—współtowarzyszy podróży, co by bez biletu i bez pozwolenia podróż tę chcieli odbyć. Niechby brakło tej ostatniej klauzuli, a w Ząbkowicach nie dostałbym biletu na „d=zug“. Jest wreszcie i „czerwona kartka“ z generał-gubernatorstwa warszawskiego, ten talizman, który ma mi otworzyć wstęp do Warszawy.

W Szczakowie po dawnemu rewizya w brudnych i ciasnych salach—rewizya pakunków i paszportu. Przez czas jakiś odbywała się ta formalność w Granicy; lecz znów wrócili austriaccy urzędnicy celni do Szczakowy, a w Granicy pociąg ledwie się zatrzymuje na chwilę. Pustką wieje z tego dużego ciemnego dworca, ledwie w jednym rogu oświetlonego. Nie

słyszać brzęku ostróg rosyjskich żandarmów, nie widać w białe fartuchy ubranych kacapów z rosyjskiej artiieli, co tu przywilej miała wynoszenia pakunków z wagonów do sali rewizyjnej. Tak mi jakoś dziwno, że nie słyszę tyle razy słyszanych wyrazów: „izwoltie wasz pasport“. Jak oni stąd uciekali, ci obcy, dalecy ludzie, tacy butni tu, pewni siebie, potężnej Rosyi najdalej na zachód wysunięci reprezentanci, taki rosyjski wygląd nadający tej granicznej Granicy, kraju nawskroś polskiego.

W Szczakowie kupiony nowy bilet kolejowy daje prawo dojazdu do Ząbkowic tylko. Odtąd kolej już w niemieckim jest zarządzie, Nadjeżdża — bez minutowego choćby spóźnienia — niemiecki pociąg pośpieszny. Ledwie zdążyłem kupić do Warszawy bilet, gdy już rusza dalej z przypiętym jednym austriackim wagonem.

Szybko mknie naprzód, to rozdzielając obszary okupacyi dwu zwycięskich mocarstw, które linią kolejową wykreśliły na razie granice zajętych przez siebie terenów, to znów przechodząc całkowicie na austriacką stronę, by dopiero poza Piotrkowem wkroczyć już na ziemię, których niemiecki pilnuje żołnierz. Przez szyny wagonu widzę w jasnej nocy smutnie wyglądające, jakby ruiny jakichś zamczysk, popalone dworce kolejowe, sterczące poczerniałymi od pożaru murami, których dach nie przykrywa. A wokoło tych ruin życie idzie, jak szło dawniej, i wokoło pod wiatru podmuchem słaniają się łany zielonego jeszcze, ale tak wyrosłego, bujnego żyta.

Wygodnie się jedzie. W wagonie ledwie kilku wojskowych, jeden cywilny oprócz mnie pasażer, który w Piotrkowie ma wysiąść. Wczesnym rankiem wysiadam na wiedeńskim dworcu w Warszawie, jako jedyny całego tego wagonu podróżny, i zdaje się jedyny cywilny w całym pociągu, gdy zresztą z niego tylko wielu wysiadło niemieckich oficerów.

Bo nieliczni dziś ci, którzy do Warszawy mogą się dostać. Nie czas po temu, by jeździć dla przyjemności, czy drobnych interesów; kto chce dostać „czerwoną kartkę“, ten uzasadnić musi, iż rzeczywista do jazdy zmusza go potrzeba, taka, że i w wojenny czas uwzględnić ją wypada.

Krótką formalność z papierami. Wsiadam do dorożki. Ranna godzina, więc pusto jeszcze na ulicach. Rozglądam się po Marszałkowskiej. Nie zmieniła się całkiem. Tylko ani jednego rosyjskiego napisu. Już je zastąpiły nowe, wyłącznie polskie; gdzieś niedługo jeszcze zamazana połowa szyldu przypomina, że te napisy wszystkie tu janusowy miały wygląd, gdy w połowie — i to tej pierwszej — musiały z rozkazu wykoszła-

wiać tej samej lub większej wielkości literami polskie nazwy i słowa w znakach grażdanki, choć ich nikt nie czytał, chyba taki jak ja przybysz, co to na tych szyldach uczył się z ciekawości sylabizować litery obcego alfabetu. A prawda — widzę jeden duży rosyjski napis. To reklama, wypisana na bocznej ścianie domu, który ponad inne wystrzelił w górę; szkoda było trudu i kosztów, by zamazywać metrowe litery, więc jeszcze zostały jako ślad czegoś, co przeszło, szczątkowy objaw przeżytej epoki.

Skreca dorożka. Lśnią się kopuły cerkwi na Saskim placu. Dorożkarz czapkę zdejmuje. Prawda—wszakże to już nie prawosławna świątynia; wojsku zwycięskiego państwa oddano ją, by jego zaspokajała duchowne potrzeby.

1. Wygląd ulicy.

Wychodzę z hotelu, przepełnionego oficerami niemieckimi, dla których jest zarezerwowany; otrzymałem jednak bez trudu pozwolenie od „platzkomendy“, by w nim zamieszkać. Przechodzę na drugą stronę ulicy, by w bocznym skrzydle pałacu namiestnikowskiego zgłosić przepustkę na siedmiodniowy pobyt. Również bez trudu dostaję przedłużenie prawa pobytu na drugi tydzień. Choć niedziela, biuro meldunkowe urzęduje; kilkanaście osób załatwia swoje sprawy, przeważnie w polskim języku, którym mniej lub więcej dobrze władają wszyscy wojskowi, w urzędzie zajęci.

Niedzielne popołudnie — w centrum Warszawy na Krakowskim Przedmieściu; snuje się barwny tłum, prawie wyłącznie cywilny. Zrzadka widnieją mundury niemieckich wojsk i urzędników cywilnych. Widać i austriackich oficerów; spotkałem ich wielu potem w powrocie, w pociągu, który był przez nich cały zajęty. Wracali gdzieś z Litwy głębokiej, z linii bojowej, której hen daleko na północ, w kierunku Dźwińska, austriacka broni armia. Ze zdziwieniem spostrzegam oddany mi ukłon wojskowy; witam serdecznie mojego ucznia, którego dawno nie widziałem; spoglądają na niego ciekawie oczy przechodzących, pań zwłaszcza—a ładny chłopak w tym barwnym mundurze—do uszu zaś moich dochodzą szept: legionista. Z Wołynia urzędowo na dzień do Warszawy przybył, rozgląda się ciekawie po mieście, cieszy się, że i Kraków w przejeździe zobaczył, opowiada o trudach. Młode ciało znosi je jednak dobrze; rozrósł się i zmęźniał. Chyba że zostanie w wojsku, jeśli to wojsko i t. d.

Zmiana wart południowa; przechodzą drobne oddziały, z karabinami w dłoniach trzymanymi. Słychać głos komendy patrolu, bo oficer przechodzi obok. Na hasło wyprężają się postacie żołnierskie, silniej miarowo wyrzucają nogi, z mocą uderzają buty przez chwilę o drewniany bruk ulicy. I patrzę, jak równo te nogi podnoszą się w górę i uderzają o ziemię, tak równo, jakby to nie ludzkie były nogi, lecz jakieś potężnej maszyny szprychy, kierowanej jedną siłą popędu. Rozlega się głośno uderzenie, echem odbija w ciszy szerokiej ulicy.

W ciszy Krakowskiego Przedmieścia. Zapyta może kto z tych, którzy znają Warszawę: a kiedyż tam cicho? Kto mieszkał w pobliżu, ten zapamiętać musiał ten dziwny huk, którego nie rozróżnić na składowe części, huk, zmieszany z uderzeń kopyt końskich o bruk, hałasu wozów i dorożek, dzwonięcia tramwajów i t. d. Wczesnym rankiem już huk ten, ciągle, nieprzerwany, monotonny, budził ze snu, spać nie pozwalał do drugiej w nocy. Można było sądzić, że tu Warszawa zgola snu nie zna, gdy ledwie na trzy, czy cztery godziny w głębokiej nocy nieco się uspokajała. Boć po północy dopiero zasypiała dawniej część Warszawy, wtedy, gdy w Krakowie na drugi bok się już odwracano, a ze świtem, lub przed świtem, wstawała ta druga, ciężko pracująca.

Już w hotelu uderzyła mnie ta cisza; jeszcze więcej uderza na ulicy. Powoli wyjaśnia mi się sprawa. Dowiaduję się z gazety, że dalej trwa strajk tramwajowy; nie chcą wrócić do pracy, dopóki nie otrzymają podwyższenia płacy, tak potrzebnego ze względu na drożyznę. Chodzą głuche wieści — które jakoś się nie sprawdziły — że grożą dalsze strajki robotników w innych zakładach miejskich, którzy z tamtymi się solidaryzują.

Ale dorożki gdzie? Nie trzeba było ich dawniej w Warszawie szukać, wszędzie było ich pełno, na placykach i przy chodnikach ulic, podjeżdżali, zapraszając się, gdy się zwłaszcza z hotelu wychodziło. Za 20 kopiejek jechało się nieraz pół godziny i to nawet bez napiwku, których dorożkarzom nie dawano zwykle w Warszawie. Tą taniością dorożek tłumaczył się ten olbrzymi ruch pojazdów w Warszawie, który wyrównywał ruchowi największych miast Europy. Z tego powodu nie spieszno było Warszawie, by wprowadzić tramwaj elektryczny, który niezbyt dawno dopiero zjawiał się na jej ulicach, później, niż w Krakowie. Taniością dorożek tłumaczyło się, że szanujący się warszawiak do używania tramwaju jakoś nie mógł się przyzwyczaić.

Spieszno mi było na drugi koniec miasta. Nareszcie znajduję dorożkę. Nie chce jechać woźnica. Zdziwiony pytam

o przyczynę. Bo koń nie uciągnie. Rzeczywiście zmęczony, potem okryty, nie okazuje ochoty do „kawalerskiej jazdy“, nie tylko ochoty — ale i siły. „Taki owies drogi, panie. Pud 40 rubli. A ileż on go dostanie? Skądżeby on miał siły?“

Drożyzna owsa spędziła dorożki ze stanowisk. A i mniej ich potrzeba, boć dokąd się spieszyć, gdy interesy przeważnie stanęły? Można piechotą chodzić, jest czas na przechadzkę. Niedzielny tłum na Krakowskim nie spieszył się i dawniej, przed wojną, gdy szeroką falą rozlewał się zwłaszcza koło pierwszej po ostatniej mszy w kościele św. Krzyża. Ale i w następnych dniach codziennych nie widziałem tego gorączkowego ruchu, przyspieszonych kroków, tak różniących warszawiaków od krakowian. Wojna nauczyła krakowskim wolnym krokiem chodzić spieszącą się Warszawę.

2. Troski codziennego życia.

Kilka ledwie kroków uszedłem z hotelu, gdy słyszę brzęk puszek i słowa; „na biednych zbieramy“. A więc kwiatek — przepraszam, nie kwiatek, lecz ptaszek. Zamiast kwiatka dostaje bowiem karteczkę, na której ptaszek wymalowany. I tak, jak u nas, co niedziela na inny cel, ale co niedziela, co święto, jakiś inny ptaszek. W długiej drodze przez pół miasta nie spotkałem ani jednej po prostu osoby, któraby znaczka nie miała przypiętego. Szare, zgrabne woreczki, używane tam oddawna zamiast przyjętych u nas nieładnych puszek, brzęczą zawartością, widać, że ciężkie. Widać, że Warszawy dobroczynność nie ustała mimo ciężkie warunki życia wojennego. Daje i daje, czy kopiejkami i fenigami do puszek, czy też rublami. Oczywiście, rublami — ci nieliczni, których stać na to: ale są i tacy, i ci dają i płacą, jak np. za bilety na przedstawienie specjalne w ślicznym teatrzyku Pomarańczarni w Łazienkach, które w kilka dni później się odbyło, ceny takie, przy jakich w Krakowie puస్తoby chyba było na sali.

Zwraca moją uwagę, że ptaszkiem ozdobiono i liczne oficerów mundury; jak mi mówiono, stale się to w ostatnich czasach widuje.

Lecz jakże nie dawać — na biednych! Widywało się i dawniej w Warszawie żebraków, ale teraz pełno ich na wszystkie strony. I robotnika się spotyka, gdy o datek prosi. Bo o pracę trudno, stoją przeważnie fabryki; braku zaś ludzi w męskim wieku, jak u nas, tu nie widać. A ileż tej nędzy, która żebrać się wstydzi. Szedłem do znajomych: o piętro niżej fala

ludzi wchodzi w jakieś drzwi, czeka kolei. Po twarzach, ubraniach, widać, że to ludzie z t. zw. inteligencji. To tania kuchnia dla inteligencji.

Strojna była zawsze Warszawa; nie brakło pań, które stroić się mogły, a gust dobry tych, które nie mogły czy nie chciały na stroje wydawać pieniędzy, dopomagał, iż zgrabnie, sztywnie wyglądały i one, nadając Warszawie tak charakterystyczny wygląd. Przyglądam się sukniom. Jakoś — o ile moje męskie oko to ocenić może — nie widzę tegorocznej mody. Zrzadka zjawiają się krótkie, fałdzone suknie i wysokie trzewiczki, których tyle spotyka się na wszystkie strony w Krakowie. Przeważnie suknie dawnego kroju, wąskie jeszcze. A i w teatrach — jak mi mówiono — nawet na premierach skromnie ubrane panie zajmują fotele i łóża. Objaśnia mnie później jedna z pięknych spotkanych pań, niedawno jeszcze krakowianka: „modą dziś w Warszawie nie ubierać się modnie“. Takie hasło wśród warszawianek silnem widać odbiło się echem.

O ciężkich warunkach bytu naszej stolicy słyszeliśmy dużo. Ale jakoś tak mi trudno pogodzić to, co słyszałem, i te spostrzeżenia, jakie czynię, z innemi. Na wystawach sklepów i cukierń białe pieczywo, „kajzerki“, których Kraków od tak dawna nie ogląda, ciastka piękne, nawet z kremem, za któremi daremnie u nas tęsknią dzieciaki, stopy wspaniałych owoców, nie brak herbaty czy kawy, dla których zdobycia nie trzeba stać w ogonku, tytoniu pełno po sklepach, a i po ulicach go sprzedają, jak dawniej, papierosy obnoszący je przekupnie. W restauracyi czy kawiarni na żądanie dostają chleb czy bułkę bez karty chlebowej, której mi w hotelu całkiem nie wydano.

Jak pogodzić jedno z drugim? Nie trudno — ale trzeba zapytać o ceny, porównać, ile kosztuje mięso na kartę kupowane, czyli monopolowe, jak mówią w Warszawie, monopolowy chleb, czarny, ziemisty, o wiele gorszy niż krakowski, a taki, jak ten, który jedliśmy dawniej, lub mięso poza kartą kupowane. Mięso monopolowe dużo jest tańsze, niż w Krakowie, bo 60 kopiejek funt polski (t. j. 400 gr.); ale by tego mięsa pewną, skromnie na rodzinę oznaczoną ilość nabyć, trzeba rano wstać i co najpóźniej o szóstej zająć już miejsce w ogonku, a często nawet to nie pomoże, i nawet ten, kto rano wstaje, nic nie dostanie. Niejedna z moich znajomych rodzin, wcale zamożnych, przyzwyczajonych do obfitości jedzenia — boć Warszawa jadła zawsze dobrze, dużo i tanio — mięsa prawie zupełnie nie widzi. A takich rodzin zamożnych

dość dużo; cóż mówić o biedniejszych, których o tyle więcej. Chleb monopolowy—niedrogi. Ale za białą „kajzerkę“, której na kartę nie dostanie, i to kajzerkę tak miniaturowych kształtów, iż piekarz krakowski, lubiący małe—przed wojną—wyrabiać bułeczki, chyba takiej nie potrafiłby zrobić, bo do tego aż artyzmu trzeba, płaci się aż 5 kopiejek; za „warszawską“ bułeczkę w cukierni, prawda że pierwszorzędnej, liczą 20 fenigów, za niedużą strudelkę białą, która przy dobrym apetycie nie mężczyźnie, ale panience na jedno tylko starczy śniadanie, 40 kopiejek zapłacić trzeba.

To, co niezbędne dla życia, nie jest drogie, o ile na kartę można dostać. Zasługa to wielka Komitetu Obywatelskiego. Że w ogonku trzeba stać i czekać, aż się dostanie — to już objaw, któremu się dziś nikt nie dziwi. W dzień zresztą ogonków tych się nie widzi; oświeśla je ranne głównie słońce, i tu—oczywiście — przepisem przesunięte o godzinę naprzód. Najwięcej jednak ludności, o ile z rozmów wywnioskować mogłem, daje się we znaki mała ilość na kartę wymierzonych ziemniaków, z których—jak narzekają—już w obecnej spóźnionej porze połowę nieraz trzeba odrzucić. Poza kartą można wprawdzie wszystkiego dostać, ile się chce. Tylko że na to trzeba mieć dużo, bardzo dużo pieniędzy. Tu orgie wyprawia spekulacja, najprzykrzejszym w tej chwili w Warszawie jest brak mydła. Niema kart na nie—a funt polski mydła kosztuje już 3 ruble.

3. Uniwersytet

Pozazdrościć może Warszawie uniwersyteckich gmachów niejedna europejska wszechnica, bogato wyposażona. Bo do prawdy trudno o lepsze warunki, w których mógłby uniwersytet się pomieścić. Położony on w samym centrum Warszawy, boć wchodzi się do niego z Krakowskiego Przedmieścia, więc głównej arterii miejskiego ruchu, nawprost prawie kościoła św. Krzyża. A to centralne położenie w środku miasta nie niesie za sobą tych niedogodności, jakie mają inne uniwersytety, tak pomieszczone; — uniwersytet mimo to, że leży koło przelewającej się życiem i gwarem tego życia huczącej ulicy, ma jednak zapewnioną ciszę, niezbędną, czy o wykład chodzi, czy o pracę w seminaryach.

Bo uniwersytet warszawski — to nie jeden gmach jakiś ogromny, na ulicę setkami okien patrzący; to szereg gmachów, rozłożonych wygodnie na znacznym obszarze, „posesyę“

tworzącym. Nie znamy tu w Krakowie takich warszawskich „posesyi“. Folwarczki to były, magnackie czy kościelne, po przedmieściach miast właściwych, Starej i Nowej Warszawy, rozrzucone. Do dziś w Warszawie nieraz do jednego właściciela należy kilkanaście olbrzymich domów, tak różnych od małych krakowskich kamieniczek, domów, które wznosił na swej jednej posesyi, gdy ją pociął na kawałki i ulicami rozdzielił. Taką to posesyę wziął dla siebie uniwersytet warszawski. Z frontu, od Krakowskiego Przedmieścia, wchodzi się przez szeroką żelazną bramę, między dwoma skrzydłowymi budynkami; w jednym z nich obecnie jest i mieszkanie rektora. W głębi posesyi, pełnej drzew, a więc zieloności, stoi pałac Kazimierzowski, ładny barokowy budynek, będący głównym trzonem tego kompleksu gmachów, z największą salą, aulą. Tu biura rektora i dziekanów, tu przeważna część sal wykładowych. Między skrzydłami przy bramie a głównym gmachem kilka jeszcze osobnych budynków, mieszczących kwesturę, seminarya i laboratoria. W samym środku posesyi, tak, iż zasłonięty został widok na front Kazimierzowskiego pałacu od strony Krakowskiego Przedmieścia, stała w niezbyt dawnych latach zbudowana biblioteka uniwersytecka. Zepsuł nieco ten budynek wygląd estetyczny całości, lecz sam wcale nieżył w stylu, zbudowany na bibliotekę według ostatnich wymagań, z szeregiem sal widnych i dużym magazynem na książki, podzielonym na malutkie piętka, by łatwo było do książek się dostać, wolny od niebezpieczeństwa pożaru, z zewnątrz mogącego się przekraść, gdy luźno stoi, stanowi jedną z bardzo niewielu korzystnych pamiątek, jaką Rosyanie po sobie nam zostawili w Warszawie.

A poza głównym gmachem ładny ogród, terasami ku Wiśle spadający. Ile tam jeszcze miejsca, by mógł się uniwersytet rozrastać!

Lecz jeśli pomieszczenie dużo znaczy dla uniwersytetu, to jednak tworzą go ludzie, ci, co uczą, i ci, którzy się uczą; o wartości wszechnicy rozstrzyga siła ich ducha, wartość umysłów, napięcie energii do pracy.

Szczupłe jeszcze profesorskie kadry, do 40 sił liczące, rozdzielone na cztery—świeckie tylko, bo teologii jeszcze brak—wydziały. Słuchaczy, czyli — jak w Warszawie się mówi — studentów, jest na pierwszym, jedynym—rzecz jasna—roku ponad 12 setek.

Z przyjemnością kieruję kroki w głąb uniwersyteckiej posesyi. Raz tylko tam niegdyś byłem, by mózdz zbadać kilka naszych starych rękopisów w bibliotece. Pamiętam do dziś to

przykre wrażenie, jakiego doznałem, gdy z polskiej ulicy wszedłem w ten tak istinno rosyjski wygląd w ludziach mający zakątek Warszawy. Było to już w czasie bojkotu uniwersytetu przez polską młodzież; więc tylko rosyjski słyszałem w koło język, w koło mnie takie obce polskiemu oku twarze, wskazujące, iż ich ojczyzną kraj nad Wołgą leżący.

Nie mogłem się z urzędnikami biblioteki po polsku porozumieć. Pomogło dopiero, gdy uciekłem się do pomocy francuskiego języka; woleli przyznać się do nieznajomości polskiego języka, niż do tego, że francuskiego nie znają.

Jakże inaczej dziś! Zaraz po wejściu za bramę witam dobrych znajomych z Krakowa i Lwowa, którzy pospieszili na wezwanie do Warszawy, uważając je za kateryczny imperatyw narodowy. Znikły nieprzyjemne wspomnienia.

Zaproszony, przysłuchuję się kilku wykładom i ćwiczeniom seminaryjnym, dowiaduję się, jak wygląda kwestya podręcznych zbiorów i t. d. Częściowo zbiory zabrano, lecz biblioteczne zbiory seminaryów pozostały. Ale jak one były uposażone! Profesor ekonomii wyteża wszystkie siły, by móżdżek uzyskać kupno dla seminaryum biblioteki po jednym z niedawno zmarłych profesorów niemieckich, bo nie wie, jak będzie prowadził prace. W seminaryum historycznem nie znalaziono ani jednej historycznej książki polskiej i t. d.

Nie moją rzeczą oceniać wartość profesorów i wykładów; nie wystarczyłby na to krótki pobyt w gmachach warszawskiej wszechnicy. Ale to jedno chcę zaznaczyć i mogę po tych kilku godzinach, jakie tam spędziłem, po tych kilku rozmowach z profesorami, po przyjrzeniu się choć pobieżnie pracy uczniów. U wszystkich bez wyjątku, czy to profesorowie, czy słuchacze, ogromne poczucie odpowiedzialności za tę ich pracę wobec społeczeństwa, zapal do tej pracy, który wprost zachwyty budzi. Rojno i gwarno w korytarzach, pełno w salach wykładowych; niektóre wykłady w auli odbywać się muszą, bo sali dość wielkiej zabrakło, a przecież to rok pierwszy tylko dopiero. Na seminarjach pełno; każdy z uczestników referat przygotował już lub kończy, nieraz nawet do pisania rozprawy się zabiera. Tam niema takich słuchaczy, coby wykładów słuchali w Łęczycy lub Płocku, a przyjeżdżali tylko po nomina i testy.

Jeśli są dziś jeszcze braki, jeśli są trudności, od początku każdego nieodłączne, to jednak ta machina wzięła taki rozpęd, iż o rezultatach tej pracy wątpić niepodobna. Byle tylko rozpędu z zewnątrz nic nie zatamowało!

Jedna jedyna drobna rzecz nie budzi u mnie sympatii;

czapeczki, oznakami przynależności do stowarzyszeń studenckich będące, niedawno wprowadzone, przypominające nieco mundury rosyjskich uniwersytetów, a więcej obce naszemu duchowi zwyczaje niemieckich burschenschaftów. Niezbyt fortunny to z rozmaitych względów pomysł. Drobnostka to jednak, na której zresztą usprawiedliwienie także nieco argumentów przytoczyć można.

Nie byłyby te uwagi o uniwersytecie pełne, gdyby nie wymienić nazwiska rektora Brudzińskiego. Niedawno znany tylko kolegom po fachu, dziś całej Polsce, zajął stanowisko takie, że postawi go potomność bez wątpienia obok rektora szkoły głównej, Mianowskiego, jako tegoż godnego następcę. Zjednać umiał sobie wszystkich: bezwzględne uznanie u profesorskiego ciała, miłość gorącą całej młodzieży, szacunek u władz, w kraju rządzących. A tak to działa krzepiąco, gdy się widzi, że nam nie braknie ludzi, gdy ich potrzeba, że zjawiają się na właściwych miejscach, pełni tych cnót, których od nich żądać się musi. Quod faustum sit — na przyszłość, tak jak się to pomyslnie zaczęło!

4. Odgłosy Trzeciego Maja.

Prawie miesiąc upłynął od majowej rocznicy. Ale nie utonęła ona w niepamięci. Przypominają obchód, którym Warszawa uczciła pamięć naszego wysiłku nad odrodzeniem państwa i jego form, fotografie z grup pochodu, przedstawienia filmu w kinie, filmu, który zapewne obiega wiele miast niemieckich—kiedyż ujrzymy go w Krakowie?—przypominają częste jeszcze rozmowy o nim.

Jeden ton odczuć można w tych wszystkich rozmowach: ton wewnętrznego zadowolenia, że ta narodowa uroczystość wypadła wspaniale, że pokazała, iż naród cały, choćby go dzieliły różne poglądy na to, jaka taktyka jest w obecnych ciężkich warunkach najwłaściwszą, jednak potrafi się zawsze skupić cały, prawie bez reszty — bo nieliczne tylko grupki od obchodu się usunęły, jeśli ten naród prowadzić ma orzeł biały, iż ten naród cały jest tylko i wyłącznie polski, bez dodatku rozmaitych filizmów. Z uznaniem podnoszą nadzwyczajny ład i porządek, jaki panował w czasie obchodu, który odbył się bez najmniejszego przypadku zamieszania, choć zwłaszcza rozwiązanie pochodu znaczne nastroczało trudności.

Ale zimno ocenia Warszawa polityczne znaczenie możliwości obchodu. Cieszy się z tego, iż mógł on się odbyć, że

tak wypadł, że w masach bezwątpienia przyczynił się do pobudzenia świadomości narodowej. Nie wyciąga jednak żadnych wniosków na przyszłość, nie buduje gmachu na piasku; wywody niektórych pism, w tym kierunku idące, pozostały poglądem wyłącznym redakcyi.

Ale nietylko obchodem uczczono rocznicę. Do obchodu dodano setki wprost odczytów; główny odczyt wygłosił prof. Smoleński — właściwie nie raz jeden, ale trzy razy osobiście, a stu prelegentów go potem powtórzyło; w uniwersytecie osobny odczyt miał profesor prawa polskiego, Siemiński. Ale brakło — wydawnictw popularnych. Jedną z broszur, wydaną w 5.000 egzemplarzy, rozchwymano w ciągu kilku godzin. Brakło czasu od chwili pozwolenia na obchód, by przygotować wydawnictwa, a nie bez winy i nasz świat księgarski, który zo-ryentował się w sytuacji, ale nieco—zapóźno.

Lecz nietylko Warszawa tak czciła Trzeci Maj; obchody objęły całe terytorjum niemieckiej okupacyi. Obok Warszawy najlepiej spisała się Łódź, gdzie w czasie wojny duch polski dziwnie szybko i silnie rośnie. Za dużo byłoby mówić o przyczynach tego, wprost zdumienie nieraz budzących. Takie tam dziwne stosunki były zawsze w tej Łodzi, o której mówiliśmy często, ale której nie znaliśmy i nie znamy, zdaje się, także dzisiaj. Komitet, złożony z przedstawicieli dwu obozów przeciwnych, miał zamiar tylko dekoracyę miasta przedsięwziąć; gdy dowiedział się, że może obchód rozszerzyć, skorzystał z pozwolenia. I ruszył przez Piotrkowską ulicę wąż pochodu, na kilka kilometrów długi, poszli w nim i ludzie, których widzieć się z odznakami orzełka polskiego nie spodziewano, poszli i żydzi, nietylko ci, nieliczni, na kilka tysięcy liczeni, co wyraźnie za Polaków się uważają (przewodniczącym klubu polskiego w Radzie miejskiej jest żyd-Polak, znany w kołach polskich działacz tamtejszy, lekarz), lecz i inni, ci, co to do Lodzer-Menschen się liczą, Łódź za dużą i ściślejszą uważają ojczyznę. Usunęli się jednak syoniści, gdy komitet obchodu nie zgodził się, by przy odznakach polskich mogli obok przypiąć jeszcze drugie odznaki: poale-sionu.

Dekoracya miasta miała być niezrównana w barwie i ilości; na gwałt fabryki wyrabiały białe i czerwone perkaliki, że całą Łódź nimi niesłychanie szczerze obwieszono.

Ze pochód majowy tak składnie w Warszawie się odbył, niepoślednia w tem zasługa miejskiej milicyi, której pierwszy to był popis. Jest tych milicyantów, którzy zastąpili poprzednią honorową straż obywatelską, 1.200 w mieście. Ładnie ubrani zostali w ciemno-granatowe mundury z ponsowymi wy-

pustkami. Tak zgrabnie wyglądającej policji miejskiej nie ma chyba żadne inne miasto w Europie; widać też, jak ludność patrzy na nią życzliwym okiem, że wyjątkowo muszą interweniować. A nie tylko świeżych mundurów wygląd tych, co w mundury okryci, i ich nadzwyczajna uprzejmość w stosunku do publiczności.

Stoi na czele milicji, jako jej naczelnik — także chyba jako wyjątek, i to jedyny w Europie, — aż książę. To znany w Krakowie książę Franciszek Radziwiłł. Przyjechał przed wojną na kilka dni do Warszawy i — zaskoczony — pozostał. W Królestwie w życiu publicznem dużo większy bierze udział arystokracja, niż to jest w Galicji; społeczeństwo Królestwa, choć demokratyczniej usposobione w przekonaniach, a przynajmniej silniej te swoje demokratyczne przekonania podkreślające, z chęcią patrzy na potomków możnych rodów, gdy z nim chcą współpracować, z chęcią ustępuje im miejsca na eksponowanych placówkach. Dla Warszawy naczelnik milicji, który był i jej twórcą, gdyż już—już prawie wprowadzić miano niemiecką państwową policję, przedstawiał się jako homo novus. Organizacja obchodu majowego, za którego spokojny przebieg osobistą przyjął odpowiedzialność, hojnym darem kilku tysięcy rubli, jakie ofiarował, by Teatr Wielki, już na inny cel zajęty, uwolnić na przedstawienie uroczyste, zjednał sobie odrazu dużą w Warszawie sympatyę.

5. Praca i nauka.

Zamarła praca w przeważnej części fabryk warszawskich. Dużo zniszczyli Rosjanie, nim Warszawę opuścili, inne fabryki znowu stały z powodu rekwizycji miedzi, którą też bardzo ściśle pozabierano i z mieszkań prywatnych; niema już miedzianych wanien, niema już tak licznych w Warszawie miedzianych naczyń kuchennych, w których rdzawym połysku lubowały się oczy naszych babek. Ograniczyć musiały zakres działania domy handlowe. Rozmawiam z jednym z dyrektorów wielkiego domu handlowego. Interesy—mówi—firma nasza, zatrudniająca 400 osób, prowadząc handel zwłaszcza węglem i żelazem, robiła dawniej dobre, zarówno w Warszawie, jak w sześciu filiach, od Dąbrowy po Moskwę i Charków. Moglibyśmy zarobić byli miliony, gdybyśmy wystawiali dla intendentury rosyjskiej rachunki na trzechkrotną ilość towaru w rzeczywistości dostarczonego, jak to robili inni; ale — firma polska, która buduje swoje powodzenie na rzetelności i uczci-

wości, w takie interesy się nie wdaje. Przy ewakuacji miasta część urzędników przeniosła się do filji petersburskiej, gdzie obecnie pracuje główny zarząd; nam niewiele zostawiono pieniędzy i zlecenie, byśmy zarobili przynajmniej na pokrycie płac urzędników, którzy zostali. I daliśmy sobie radę; nikt nie został oddalony, pełne pensje płacimy, nie mogąc węglem i żelazem prowadzić handlu, wzięliśmy się do innych towarów, np. zwłaszcza do mydła, a gdy po wkroczeniu wojsk niemieckich zniesione zostało moratorium, spłaciliśmy już znaczne, w setki tysięcy idące, sumy, zaległe z przed okresu wojny. Ale o wypłacie obecnie dywidendy, nawet za rok 1914, ani mowy być nie może, choć mamy nadzieję, że przecież ją po wojnie zapłacimy,

Nielepiej, a nawet gorzej wiedzie się kamienicznikom. O ile nie płacą podatków, to w sekwestr brane są czynsze, choć przyznać trzeba, że magistrat, który tę sprawę ma oddaną pod kontrolą władz niemieckich, o ile można stara się względnie postępować. Ale nie łatwo ściągać czynsze. Mnóstwo mieszkań stoi wolnych, nieraz całe nieomal kamienice są do wynajęcia. Wyjechali Rosjanie prawie doszczętnie — raz ledwie na ulicy zdarzyło mi się słyszeć język rosyjski. A dobrze sytuowani, boć to byli przeważnie wyżsi urzędnicy i oficerowie, nie przywykli do oszczędności z swej szerokiej natury, zajmowali obszerne zwykle mieszkania. Wyjechało dużo i Polaków, którym kazano przenieść się w głąb Rosji, wyjechało także trochę—choć niezbyt wiele—dobrowolnie. Hasłem było Warszawy, by zostać na miejscu, i to hasło przeważało, choć Rosjanie gwałtownie namawiali, by z nimi jechać na wschód. Z tych, co zostali, wielu czynszu nie płaci wcale, innym obniżono komorne znacznie, a opinia publiczna bardzo ostro potępia wypadki bezwzględного egzekwowania rat komornego. Oczywiście zamarł zupełnie wszelki ruch budowlany; nie widać wznoszonych nowo dziesięcio-piętrowych kamienic, na które z taką dumą patrzyli niektórzy z mieszkańców Warszawy.

Przestali być kamienicznicy przedmiotem zazdrości. Wszakże pomyśleć nawet potrzeba było o tem, by im jakoś przyjść z pomocą i utworzono osobny fundusz zapomogowy dla nich. Przecież—właśnie w czasie mego pobytu—zdarzył się wypadek, iż pozbawiony dochodów właściciel domu z rozpaczą z czwartego piętra na bruk skoczył.

Ledwie niewielki procent jest takich, którzy i w tym czasie robią interesy: wyłącznie to wstrętne okazy spekulantów, którzy wydobywają powoli ukryte zapasy, by je po niesłycha-

nych sprzedawać cenach, tuczący się z wyzysku ogółu, z tym ogółem nie czujący łączących ich narodowych i społecznych węzłów.

Zmniejszone dochody, życie z tego co na czarną złożono godzinę, gdy ta czarna godzina rzeczywiście nadeszła nie dla jednostek, ale setek tysięcy, i to taka długa, wydłużająca się jakby w nieskończoność, brak zarobku u szerokich mas — to cecha gospodarczych stosunków Warszawy. Gdy gdzieindziej pytanie wciąż słychać, skąd brać ludzi, tu, przeciwnie, nadmiar ludzi budzi troskę, gdy im niepodobna dać zajęcia.

Najwięcej odporności okazała, tak jak w Krakowie, nauka. Znaną to rzeczą, iż uczone, taki prawdziwy, nie rozróżnia tak bardzo dobrego befsztyka od lichego kawałka mięsa z krowy, nie zauważa nieraz, że nie jadł obiadu, gdy pracą się przejął, a z dziurawymi łokciami, w podartych trzewikach chodzi ze stoickim spokojem, aż mu na to zwróci uwagę żona czy służąca. Ale ten typ uczonych jakoś coraz bardziej u nas ginie, szybciej w Warszawie, która nawet literatów z nieczesanymi włosami, nie używających czystych kołnierzyków, uznać oddawna nie chciała. Mimo to jednak uczeni pracować nie przestali nawet wśród huku dział, tak, jak to i w Krakowie było, w którym w zimie 1914/15 r. zbierały się posiedzenia wydziałów Akademii regularnie, przy dużej, jakby zwykłej frekwencji członków, a płon Akademii z wojennych lat może większy nawet, niż był w zwykłych. I w Warszawie sporo wydrukowano tomów poważnych wydawnictw, stanowiących prawdziwy naukowy dorobek, zwłaszcza z dziedziny historii. Nie zawiesiły też wydawnictwa pisma naukowe peryodyczne: „Temis polska“, „Przegląd historyczny“ i t. d., choć wyjdą z pewnem opóźnieniem. Pracowało bez przerwy młode, a ciągle rozwijające się Towarzystwo Naukowe Warszawskie. Z pomocą finansową spieszyła uczonym Kasa imienia Mianowskiego, mając znaczne fundusze do dyspozycji, płynące nawet i podczas wojny obficie z podarowanych niegdyś szczęśliwą ręką naftowych terenów na Kaukazie. Skromny zdawało się dar, którego omal nie sprzedano za kilkadziesiąt tysięcy, setki tysięcy rubli przysporzył majątku Kasie.

Nie przerwało bytu i Towarzystwo Miłośników Historii Warszawy, na wzór krakowskiego stworzone, a od niego na pewniejszych oparte podstawach, gdy ma na własny użytek piękną kamienicę, niegdyś książąt mazowieckich, w rynku Starej Warszawy położoną, niedaleko od drugiego domu niegdyś Barczków, który jest własnością Towarzystwa opieki nad za-

bytkami. Wśród szeregu domów rynku Starej Warszawy, skromnego bardzo w porównaniu z krakowskim rynkiem, lecz tem bardzo korzystnie wyróżniającego się, że wszystkie bez wyjątku przy nim stojące kamienice są stare, a ani jednej nowej lub przebudowanej, prawdziwą ozdobą są te dwa domy z bardzo interesującemi fasadami, ładnie i starannie odnowione, z wydobyciem zwłaszcza w domu Towarzystwa Miłośników Historii miasta Warszawy pięknych części średniowiecznych portalów, sklepienia i baszty, na kilka pięter w dół sięgającej. W baszcie tej spotkałem kilku wysokich urzędników niemieckich, wśród których znajdował się jeden z panujących książąt niemieckich i hr. Hutten-Czapski, cywilny adlatus przy generał-gubernatorze Beselerze. A nie pierwsze to odwiedziny obcych: co niedzielę ich się podobno w obu domach Towarzystwa spotyka.

Towarzystwo Miłośników w czasie wojny dom odnowiony otwarło w niedzielę dla publiczności. Ze zdziwieniem spostrzegłem, idąc ku Staremu Miastu, iż tak wiele zdąży tam osób od Krakowskiego Przedmieścia. A któż kiedy chodził na Stare Miasto w Warszawie? Nie tak to dawno, jak nieraz słyszałem zdziwienie, poco ja tam się włóczę? A teraz zwiedza w niedzielę po kilkadziesiąt—a niedawno zwiedzało nawet po kilkaset osób—oba domy, w pierwszym oglądając pod kierunkiem którego z historyków, dających objaśnienia, obok architektury i wystawę dawnych widoków Warszawy, w drugim zbiory głównie etnograficzne.

Niemieczy uczeni odkryli w czasie tej wojny Warszawę, o której przedtem niewiele, nic prawie nie wiedzieli. Raz po raz zjawia się jakiś niemiecki profesor; w drzwiach kancelarii rektora spotykałem przy wyjściu wchodzącego prof. Seringa z Berlina, tego, którego odczyt o kwestyi ruskiej w Wiedniu niedawno takie wywołał wrażenie. Stale w Warszawie mieszka obecnie archiwaryusz Adolf Warschauer, dobrze obeznany z polską historią, zasłużony z prac nad dziejami zwłaszcza Poznania. Poza głównem archiwum, które pozostało przy swoim zarządzie, gdyż dyrektor polak pozostał na miejscu, inne archiwa podlegają dr. Warschauerowi, który je przegląda przy pomocy niemieckich archiwistów i historyków; a odkryto tam w Warszawie kilka takich archiwów, po różnych rosyjskich władzach pozostałe, do których jeszcze nie zajrzało nigdy żadne nie-rosyjskie oko. Ile stamtąd ciekawych dowiemy się rzeczy, choć może — nie prędko.

Polacy bibliotekarze zbierają pilnie materiały do dziejów polskich w czasie wojny: jako curiosum pokazują mały słow-

niczek rosyjsko-węgierski dla wojskowych, drukowany w r. 1913, tak — na wypadek. Lecz, zdaje się, rosyjskie wojska niewielki z niego miały pożytek.

6. Polityka.

Nie należała Warszawa oddawna do miast rozpolitykowanych. Najlepszą polityką była twarda praca pod hasłem: „nie dajmy się“. I rzeczywiście, Warszawa „nie dała się“ przeszłości, mimo te straszne warunki bytu, w jakich żyła. Gospodarczo wzrosła, zmężniała pracując bez pomocy państwa, o własnych siłach, wyrobiła sobie silne ekonomiczne muskuły; nie dała się i duchowo, gdy przechowała od czasów Szkoły Głównej kult dla nauki i wiedzy. Może nieco za bardzo chciała naukę i wiedzę podporządkować wyłącznie ich społecznej wartości, czem należy tłumaczyć obniżenie w Warszawie zamiłowania do nauk humanistycznych, brak dość silnego zmysłu dla wartości historyi, a przecenianie nauk przyrodniczych. Może nie dość umiała odróżnić wiedzę głębszą, ugruntowaną na fachowej znajomości przedmiotu, od tej gałęzi, która, jej popularyzacją się zajmując, o tamtą oparta dużą ma społeczną i narodową doniosłość, lecz z natury rzeczy do przodownictwa nie powinna sobie rościć pretensyi. Ale nieznaczne to tylko braki, z którymi walczy skutecznie świat młodych uczonych, co gruntowne przeszedł studia, a teraz zyskał szersze pole działania na katedrach uniwersyteckich. Ważniejsza to, iż Warszawa mimo wszystko potrafiła — choć odsunięta od uczelni wyższych, w jej murach działających — utrzymać w ciągłej uprawie grunty rodzajne nauki i wiedzy, tak że prawie sama, z niewielką pomocą innych dzielnic Polski, skompletowała swoje nauczycielskie ciała uniwersytetu i politechniki.

Że „nie dała się“ Warszawa, ufność budzi, iż „nie da się“ i w przyszłości, cokolwiek staćby się miało.

Ta praca wyteżona każdego dnia i dziś w Warszawie stanowi główne wskazanie „polityki“, choć oczywiście niema chyba nikogo z tych, co myślą i czują, któryby nie rozmyślał nad tem, co jest, nad tem, jak postępować należy, jak postąpić trzeba będzie, gdy nadejdzie chwila. Ogólnemu zdaje odpowiada poczuciu politycznemu Warszawy przekonanie, iż trzeba czekać chwili tej, która przyjdzie, która — wcześniej czy później — ale niedługo ostatecznie, za miesięcy parę, czy za rok, przyjść musi. Niema co szarpać sił i nerwów w daremnych wysiłkach, by budować gmachy na lotnych piaskach przypuszczeń, i to często takich, które własne pragnienia z duszy wysączyły.

Nie będę też przedstawiał politycznych ugrupowań Warszawy. Gdybym się silił na określenie wyraźne fizyognomii, jakie mają partie poszczególne, chciał określać nateżenie sił poszczególnych partyi, może to ciekawieby się przedstawiało dla czytelników, lecz nie miałoby naprawdę wartości. I nie tylko dlatego, że to, co schwytałem na film moich spostrzeżeń w przeszłym tygodniu, już do archiwum wojennego może należeć dziś, czy należeć będzie za tydzień lub dwa. Są tego i inne przyczyny, sądzę głębsze.

Stronnictw w Królestwie nie należy sobie przedstawiać tak, jak to wygląda w normalnych społeczeństwach, i to w nie-wojennych czasach. Nie są to partie, któreby miały ścisły, ściśle określony program, wypracowany dokładnie, wszechstronnie obmyślany. W dzisiejszych warunkach, gdy trzeba by program budować na tyłu niewiadomych, iż najlepszy matematyk nie dałby sobie rady z rozwiązaniem zagadnienia mimo wysokiej nagrody, jakaby mu obiecano na jakim konkursie, oczywiście o uchwytnej konkretności programu nie może być mowy. U niektórych partyi — dwu głównie — skoncentrowała się dość wyraźnie jedna część programu: „oryentacyjna“. Wśród partyi są takie, które istniały już dawniej, ale są i nowe zupełnie. Z tych nowych jedna zwłaszcza, bardzo niedawna datą powstania, obejmująca spory zastęp ziemian, czynnika tak zawsze obok Warszawy i w Warszawie wpływowego, dziś już wybitne zajęła stanowisko i — zdaje mi się — wkrótce stanie się partią przewodnią. Z reszty niejedna zaniknie, tak jak niedawno trzy małe partie, które zbliżała część oryentacyjna programu, w jedną większą się złączyły. Na ogół razem tych partyi niewielej, zdaje się, niż w Galicyi.

Drugi moment, który trzeba mieć na uwadze, gdy się mówi o tych partyach, to ten, iż obejmuje każda z nich zgrupowanie bardzo niewielkie. Przecież największa z tych partyi liczy ledwie koło półtora tysiąca członków; jakże to chudo wygląda, choćby brać na uwagę tę tylko część Królestwa, która obecnie jest w okupacji niemieckiej, z wyłączeniem kobiet i dzieci. Tak jak przed wojną, tak i teraz największą partią w Królestwie jest partya — bezpartyjnych. A jako tacy dopuszczani są do międzypartyjnych rozmów. W stronę którego programu oni się przechylią, której partyi staną się „sympatykami“, jak to się zwykło mówić w Królestwie, na tę stronę przeważy szala.

Nieprędko to się jeszcze stanie. Bezpartyjni, jak i większość partyi, spokojnie przygląda się życiu, ukształtowaniu się stosunków, zwłaszcza wewnątrz Królestwa. Obserwuje z wiel-

kiem zainteresowaniem linię polityki wobec Królestwa, która, początkowo niepewna, chwiejna, od dłuższego już czasu równo w wytkniętym silnie idzie kierunku. Królestwo nie lubi dezyrientyacji wahań.

Powoli — mam wrażenie — zaczynają się rysować kontury przyszłego programu, na razie przez stwierdzenie pewnych negatywnego charakteru pragnień społeczeństwa. Gdy co do nich już dość jasności, zaczyna się praca myśli nad stroną pozytywną. Jeden punkt ustalony w umysłach, które zżyły się z pojęciem całości Królestwa. Inne — dalszych prac myśli będą rezultatem.

Samo ten program Królestwo wytworzy; dziś o tem przekonali się już chyba wszyscy w Galicyi, że sobie tej pracy twórczej wyrwać z rąk nie pozwoli. Ale jedno zadanie powinniśmy spełnić tu: powinniśmy dostarczyć materiału, by Królestwu, które zna Galicyę mało, a jeszcze mniej zna Galicyę wojenną z dwu ostatnich lat, mogło, gdy będzie tego potrzeba, zapoznać się z tą Galicyą, zapoznać się z jej wartością gospodarczą, zwłaszcza jako targu, który może tak znakomicie zastąpić te targi, jakie po wojnie straci zapewne, zapoznać się z siłami kulturalnymi i narodowymi, jakie miała Galicya przed wojną, a jakie przedstawiać będzie po wojnie, czy w obrębie granic kraju, czy jako część składowa monarchii austriackiej. O tem pisać rzeczowo, spokojnie, bez jakichkolwiek zabarwień partyjnych, jest dziś naszym obowiązkiem. Dostarczmy materiału, niech potem sobie Królestwo wyrabia opinię samo, ale niech ma podstawę rzetelną, przez nas mu dostarczoną, by na gruntownych podstawach mogło swoje budować postulaty. Można być pewnym, że jeśli dobrze Galicyę pozna, jej położenie, jakie przed wojną było, w czasie wojny jest i będzie po wojnie, w tym samym pójdzie kierunku, w którym idą wszystkie gorące serca Galicyi.

Samorząd miast w Królestwie.

Przed niedawnym czasem przyniosły dzienniki wiadomość, iż miastom Królestwa Polskiego, leżącym na obszarze austriackiej okupacji, nadany został samorząd i wkrótce odbyć się mają pierwsze wybory do nowych rad miejskich. W ten sposób nareszcie otrzymało całe Królestwo Polskie samorząd miejski, którego z taką wielką szkodą społeczeństwo nie miało od lat przeszło stu. Jakkolwiek bowiem już za Księstwa Warszawskiego potworzono rady miejskie, to konstytucya, nadana Królestwu Polskiemu w r. 1815 przez Aleksandra I, samorządu miejskiego nie znała, a oddawała zarząd miast w ręce nominowanych urzędników, samorząd zaś, który dostały z rąk Wielopolskiego największe tylko zresztą miasta Królestwa w r. 1861, zamarł w czasie powstania i żadnych trwalszych nie zostawił śladów swej działalności.

Przez powołanie do działania burmistrzów i rad w tych miastach Królestwa ostatni kawał ziem polskich objęty został ustawami o miejskim samorządzie. Wszystkie inne bowiem ziemie polskie już poprzednio, niektóre oddawna, samorządnie się w miastach rządziły. W Prusach zachodnich najdawniej wprowadzono taki samorząd, a to przez pruską ordynację miejską z roku 1808, ułożoną przez słynnego ministra Steina. W Poznańskim datuje on swój byt nieprzerwany od r. 1809, t. j. od ustaw jeszcze Księstwa Warszawskiego, który utrzymały w mocy Prusy po roku 1815, aż je następnie zastąpiły przez ordynację miejską z r. 1831, noszącą nazwę „rewidowanej”. Za temi dzielnicami poszła znacznie później Galicya, w której samorząd wogóle wprowadzono dopiero w dobie konstytucyjnej przez ustawę gminną państwową z r. 1862 i krajową z r. 1866, w szczególności co do miast przez ustawy krajowe z r. 1889 i 1896 i przez osobne statuty dla Krakowa i Lwowa. W r. 1876 zaś wprowadzono ustrój samorządny

w ziemiach Litwy i Rusi, dawniej polskich, a to według ustawy rosyjskiej z r. 1870. Wreszcie lata wojny z 1915 i 1916 przyniosły organizację samorządu miejskiego w Królestwie, w obu częściach, t. j. okupacji niemieckiej i austriackiej, gdy ordynacja miejska dla Królestwa, ogłoszona przez Rosyę na Wielkanoc r. 1915, oparta o rosyjski wzór z r. 1870, nie weszła zresztą w życie.

Cały więc szereg ustaw o samorządzie ma obecnie moc obowiązującą na obszarze dawnej Rzeczypospolitej— istna tych ustaw mozaika. Różnorodne też ustaw tych przepisy, inaczej urządzające w jednej, inaczej w drugiej dzielnicy kwestye składu rad miejskich czy magistratów, wyborów radców czy burmistrzów, kompetencji itd., gdy nawet te państwa, które w Królestwie obecnie urządziły organizację miast, w wydanych ustawach zawarły nieraz znacznie różne postanowienia w stosunku do tych, które u nich obowiązują i które zresztą za wzór służyły przy ogłaszaniu nowych ordynacyi.

Wśród tych ustaw o samorządzie dla miast polskich aż sześć odróżnić można typów. 1) Poznańskie i Prusy zachodnie rządzą się obecnie pruską ordynacją miejską, wydaną dla 6 wschodnich prowincyi jeszcze w r. 1853, która zastąpiła poprzednie z r. 1808 i 1831, równorzędnie będące wtedy w mocy; później tylko jedną ważną kwestyę finansów miast inaczej urządzono, a to przez ustawę z r. 1893 i nowelę z r. 1895. 2) W Galicyi obowiązują obecnie: ustawa krajowa z r. 1889 dla 30 większych miast (właściwie dziś dla 29, gdyż odpadło Podgórze przez włączenie do Krakowa), ustawa krajowa z r. 1896, wydana wtedy dla 131 miast i miasteczek, obecnie obowiązująca w 138 miastach i miasteczkach, i specjalne statuty miejskie: dla Lwowa z r. 1870, nieco zmodyfikowany przez zmiany późniejsze, oraz z r. 1901 dla Krakowa (który zastąpił poprzedni z r. 1866), przekształcony nieco w r. 1909. 3) Na Litwie i Rusi utrzymała się bez zmian ustawa rosyjska z r. 1870, jak ją tam wprowadzono w r. 1876. 4) W okupacji niemieckiej wydano ordynację miejską dla 29 miast 19 czerwca 1915 r., później zmodyfikowaną w ordynacji z grudnia 1915 r., dotyczącej się 21 miast. 5) Warszawa otrzymała osobny statut, odbiegający od poprzednio wymienionej ordynacji bardzo znacznie, 5 maja 1916 r. Wreszcie 6) w Królestwie, w okupacji austriackiej, ogłoszono równocześnie 18 sierpnia dwie ordynacje: jedną dla Lublina, Piotrkowa, Radomia i Kielc, drugą dla 34 innych miast mniejszych.

Niewszystkie jednak miasta Królestwa, których było przed wojną 116, dostały samorząd; pominięto mniejsze, a nadto

nie dostały jeszcze samorządu miasta w okupacji niemieckiej będące, a znajdujące się po prawym brzegu Wisły, które nie wchodziły w skład general-gubernatorstwa warszawskiego. Między miastami zachodzą znaczne różnice, już z ich różnej wielkości wynikające; z tem musi się liczyć każde ustawodawstwo. Dziś rzeczą to zrozumiałą, uznaną powszechnie przez ustawodawstwo, że te odrębności miast trzeba także w ich ustroju uwzględniać. Najdalej szło to w wiekach średnich, kiedy wogóle każde miasto — w całej Europie zachodniej, a także i w Polsce — kształciło sobie na własną rękę władze miejskie. Zwyczajnie w każdym państwie zasady ustroju miast były podobne, w rozprawianiu ich jednak bardzo duże zachodziły różnice. Tak w Polsce w każdym mieście była rada miejska, ława (mająca charakter sądu miejskiego), był burmistrz, jako przewodniczący rady, i wójt, który stał na czele rady. Ale różne były ilości członków rad, a i ław, co do których jednak mniejsze zachodziły różnice; w różny sposób przychodziło do tworzenia rady, czy to przez wybór (przez ustępującą radę, ławę, cechmistrzów i t. d. w różnych kombinacjach), czy przez nominację, czy przez połączenie obu systemów, nieraz z dodatkiem kooptacji. Pierwsze dwie próby wprowadzenia większej jednolitości w ustroju samorządu miejskiego — oczywiście w tych nielicznych krajach, gdzie wówczas jeszcze on istniał, zachowany w spadku po wiekach średnich, gdy przeważnie zdławiły go rządy absolutne XVII i XVIII wieku — pochodzą z r. 1791, kiedy pierwszą ordynację gminną, także miasta obowiązującą, ogłosiła Francja, a pierwszą specjalną miejską nasz sejm czteroletni. I więcej rozumu okazała Polska, niż Francja, gdy we Francji pod jeden strychulec podciągnięto miasta, choćby największe, i drobne wsi, Polska zaś potrafiła uniknąć tej za daleko idącej dążności ujednolajnienia norm prawnych. Ostatecznie w XIX wieku przyjęło się przekonanie, że można wydawać ustawy ogólne dla miast, ale z pewnymi ograniczeniami, tak by mogły być uwzględnione ich warunki specjalne.

Pruska ustawa z r. 1853 o miastach czyni zadość tej potrzebie w taki sposób, iż przeprowadza różnice co do ilości członków rad miejskich i składu magistratów między miastami większemi a mniejszemi, nadto zaś pozwala każdemu miastu ułożyć dla siebie odrębny statut w obrębie ogólnych przepisów ustawy z zastrzeżeniem zatwierdzenia takich statutow przez rząd. Inaczej postąpiono w Galicyi, gdzie najmniejsze miasteczka podciągnięto pod ogólną ustawę gminną z r. 1866, dla wsi więc przedewszystkiem wydaną, a wśród reszty wyodrębniono z osobna: Kraków i Lwów, urządzone każde inaczej.

30 miast (dziś 29) większych i szereg mniejszych (131, dziś 138). Zasadami łączą się jednak te ustawy między sobą, zwłaszcza co do kompetencji ciał samorządnych; nadto — z wyjątkiem Lwowa i Krakowa — miasta te wszystkie mają wspólną ordynację wyborczą z r. 1866.

W Królestwie rząd niemiecki wyodrębnił Warszawę od innych miast; nadał jej osobny statut. Statut ten pokrywa się z statutem dla innych miast okupacji Królestwa z jednym wyjątkiem, mianowicie co do przepisów wyborczych, ujętych w osobną ordynację wyborczą, która odbiega zgoła od typu, jaki obowiązuje w Poznańskim i w Prusiech Zachodnich, a zbliża się zato dość silnie do statutu miasta Krakowa. W okupacji austriackiej oparto się na wzorach austriackich, specjalnie galicyjskich ustaw; nie wprowadzono osobnych statutow, ale cztery miasta największe urządzono inaczej, niż resztę, zresztą tylko co do kwestyi wyborów i składu magistratów, gdy inne postanowienia w obu ustawach dosłownie się powtarzają.

Nie wiemy, jakie będą nasze dalsze losy. Kto wie, jak długo pozostaną obecne ustawy w mocy; nieraz ustawy prawodawcze miały długi nieprzewidziany byt, nieraz ustawy różne obok siebie w jednym obowiązywały państwie. Tak przecież było i w Królestwie Polskiem, w którym obok siebie od początków XIX wieku do roku 1876 były stosowane ustawy procesowe karne pruskie i austriackie, przyjęte przez Księstwo w spadku po Prusach i Austrii w r. 1807, względnie 1809, aż je dopiero w r. 1876 zastąpiono ustawami rosyjskimi. W każdym razie dla jedności Królestwa tak daleko idąca różnorodność typów samorządowych miejskich nie jest pożądana; w administracji wprowadziłoby to niepotrzebny chaos. Zmiany nie dadzą się uniknąć chyba już w niedalekiej przyszłości.

Lecz najważniejszą rzeczą obecnie, że ten samorząd — jest, co prawda, jeszcze nie zupełny. Wyborów rad miejskich niema jeszcze i nie są nawet przewidziane na razie w miastach Królestwa w okupacji niemieckiej z wyjątkiem Warszawy, w okupacji austriackiej zaś wybory odbędą się obecnie tylko w czterech miastach większych, gdy w innych dopiero po roku, o ile generał-gubernator tych wyborów nie przyspieszy w pewnych czy we wszystkich miastach. Ale — choć jeszcze częściowy — jest już ten samorząd. A samorząd obok narodowej szkoły jest najsilniejszą podstawą narodowego rozwoju społeczeństwa. Samorząd — to najlepsza szkoła politycznego życia. Dziś chyba nikogo niema, ktoby nie rozumiał, jakim błędem było, iż z chwilą wybuchu powsta-

nia 1863 r. społeczeństwo Królestwa samo pogrzebało ten samorząd, także miejski, jaki dał w r. 1861 Wielopolski. Tego rodzaju protest przeciw polityce Wielopolskiego, który z niejasnych chyba wynikł myśli, uderzał nie we wroga, nie w Rosyę, którą zwalczano, lecz w samo społeczeństwo, które się pozbawiło jednego z praw najważniejszych. Dziś wreszcie znówu ten samorząd się zjawia. Nie można wątpić, iż Królestwo z zapalem weźmie się do pracy na tem nowem polu działalności, niedostępnem poprzednio, że znajdzie i dość ludzi, potrzebnych do tej pracy, odpowiednich wiedzą, charakterem i czystością dążeń dla dobra współobywateli.

* * *

W miastach Królestwa Polskiego obu okupacyi rządzić mają, względnie już rządzą, rady miejskie, prezydenci, względnie burmistrzowie i magistraty. Różnorodność ordynacyi miejskich Królestwa sprawiła, iż różnie też wyglądają te rady miejskie, że znaczne odchylenia zachodzą co do stanowiska prawnego burmistrzów i magistratów. Tym różnicom warto się przypatrzyć; może to mieć i wartość na przyszłość, jeśli wypróbuje się te różne systemy, przejęte ze stosunków częściowo pruskich, częściowo zaś austriackich. Gdy trzeba będzie urządzać jednakowo Królestwo, z własnego doświadczenia można będzie orzec, który system lepszy, o ile odpowiada naszym stosunkom, a co wymaga poprawy lub gruntownej przebudowy.

Organami, uchwalającymi po miastach, są w Królestwie rady miejskie, tak jak w Galicyi czy w Prusach Zachodnich lub Poznańskiem. Tak w państwie pruskiem, jak w Austrii, z wyborów one wychodzą. Liczba członków rad różna (we Lwowie 100, w Krakowie obecnie 103, w innych miastach Galicyi 18—36, w Poznańskiem różnie)—ale to rzecz mniej ważna; jasna, iż im większe miasto, tem rada liczniejsza. Prawo do wyboru radców w Poznańskiem, w Prusach Zachodnich, jak i Galicyi, mają wszyscy, którzy płacą bezpośrednie podatki, w Galicyi—także ci, którzy mają wyższe wykształcenie (t. zw. cenzus inteligencji), choćby nie płacili podatków. Z wyjątkiem Lwowa i Krakowa wszystkich uprawnionych dzieli się na trzy koła, od najwyżej opodatkowanych zaczynając, a to tak, by na każde koło przypadła $\frac{1}{3}$ część ogólnej sumy bezpośrednich podatków, płaconych przez opodatkowanych, a każde koło wybiera $\frac{1}{3}$ część radców miejskich. W Galicyi tych, co nie płacą podatków a mają prawo głosu z tytułu inteligencji, wlicza się do pierwszego koła. Mający prawo głosu mogą też być wybranymi, lecz w Prusach od wyborów wykluczeni są:

wszyscy urzędnicy, także gminni, duchowni i słudzy duchowni, oraz nauczyciele ludowi. We Lwowie, zgoła inaczej, niż wogóle w Austrii, utworzono z wszystkich wyborców jedno koło wyborcze, na co ledwie się po dłuższych staraniach zgodził rząd.

Ani lwowski system, ani też zresztą ogólny prusko-austriacki z podziałem na trzy koła, nie został przejęty do Królestwa. Przyjęty tam system odpowiada temu, który stosowany jest tylko w Krakowie. W Krakowie kół jest trzy, które rozpadają się na poddziały w liczbie łącznej sześciu (jeśli się pozostawi na boku radców z dołączonych gmin, które wybierają każda w jednym kole). Koła te są: 1) koło inteligencji, 2) właścicieli nieruchomości, podzielonych na dwa poddziały: dużych i małych domów, jak to się zwykle mówi, i 3) handlu i przemysłu, mające trzy poddziały: dużego handlu i przemysłu, małego handlu i przemysłu, i rękodzielników.

W Królestwie w części, zajętej przez Niemcy, utworzono rady miejskie, lecz—z wyjątkiem jednej jedynej Warszawy—rady te nominuje rząd niemiecki z pośród mieszkańców miasta i dotąd sposób wyboru rad zgoła jeszcze nie jest przewidziany. Członków te rady nominowane mają 24 lub 36 (w większych miastach); w Łodzi np. po 12 nominowano Polaków, Niemców i Żydów. Tylko Warszawa radę wybrała—a to z 90 członków. Za uprawnionych do wyboru uznano wszystkich, mających 25 lat wieku i od 2 lat w mieście osiadłych, nie tylko więc płacących podatki, jak to jest w Poznańskim i w Galicyi. Podzielono głosujących na sześć kół: 1) właścicieli nieruchomości, 2) dużego handlu i przemysłu, 3) inteligencji, 4) małego handlu i przemysłu, 5) płacących podatek mieszkaniowy i 6) wszystkich innych. Specyalnością Warszawy, której nie zna wogóle samorząd żadnego miasta w Polsce, to wybory proporcjonalne przy głosowaniu na listę (system t. zw. belgijski) w 5 kołach, z wyjątkiem koła inteligencji. Koło inteligencji nie jest w Warszawie jednolite, jak w Krakowie, lecz rozpada się na 6 mniejszych kół, z których każde osobno wybiera, t. j. z osobna duchowni, prawnicy, nauczyciele (z tych jednego znowu z osobna uniwersytet, lekarze, technicy (z tych jednego z osobna politechnika) i inni wszyscy. Do warunków prawa wybieralności zaliczono wiek lat 30 i znajomość języka polskiego. Żadnych kategorii zawodów od wybieralności nie wykluczono.

W ordynacjach miejskich dla miast Królestwa w okupacji austriackiej oznaczono liczbę radnych na 24, 32, 50,

względnie 60, zależnie od wielkości miasta. Prawo wyboru przyznano i tu wszystkim, mającym 25 lat wieku i mieszkającym od roku w mieście, bez względu więc na opłacanie podatków, a wyborców podzielono w Lublinie, Piotrkowie, Radomiu i Kielcach na 5 kół: 1) inteligencji, 2) handlu i przemysłu, 3) właścicieli nieruchomości, 4) płacących podatek mieszkaniowy i 5) wszystkich innych, zaś w innych miastach na 4 koła, t. j. tak, iż mających cenzus inteligencji (t. j. szkołę średnią) połączono w jedno koło z płacącymi podatek mieszkaniowy. W czterech większych miastach koło inteligencji ma głosować w podziałach zawodowych, których jeszcze nie ustalono. Dla tych, co mają być wybranymi, przepisano jako warunek 25 lat wieku i znajomość w słowie i piśmie języka polskiego.

A więc w miastach okupacji austriackiej zastosowano system wyborczy warszawski, nieco jednak uproszczony, z pominięciem zasady proporcjonalności. Warto zaznaczyć, iż pomysł utworzenia koła opłacających podatek mieszkaniowy pozostaje w związku z rosyjską ordynacją wyborczą do dumy.

Jednakże wybory (dokonywane na trzy lata) mają się obecnie odbyć tylko w czterech największych miastach; w innych zaś na pierwszy rok ma rady miejskie zanominować generał-gubernator, poczemby dopiero przyszło do wyborów. Dozwoliła jednak ordynacja generał-gubernatorowi w niektórych lub wszystkich miastach już wcześniej, o ile to uzna za możliwe, zarządzić wybory rad miejskich. O ile generał-gubernator z tego prawa skorzysta, nieznana jest jeszcze rzeczą.

Który system wyborczy lepszy: galicyjsko-pruski podziału wyborców według podatków na trzy koła, czy ten w Królestwie zastosowany, tworzenia kół zawodowych? Gdy brak wszelkich cyfr statystycznych, trudna odpowiedź; a dadzą te cyfry dopiero pierwsze wybory. Jeśli chodzi o polskość naszych miast, to żaden z tych systemów nie daje jej gwarancji; sądzę jednak, iż lepszy system ten, jaki przyjęto dla Królestwa. Stracone tam dla nas koło handlowo-przemysłowe, częściowo nie naszym będzie i koło domów, gdy trzy, względnie dwa inne w przeważnej liczbie miast w naszych powinny zostać rękach. Doświadczenia, zwłaszcza krakowskie, wskazują, że w interesie polskość w większych miastach należałoby zastosować system wyborów dzielnicowych. Niefortunnym w ordynacjach Królestwa jest przepis, że w kole właścicieli nieruchomości kobiety, które w niem wyjątkowo mają prawo głosu, głosować mogą tylko przez zastępców.

Na czele rady miejskiej stoją w Galicyi: prezydent w Krakowie i we Lwowie, burmistrz w 29 większych miastach, w innych wszystkich naczelnik gminy. Tych przewodniczących rady miejskie wybierają z pośród swego grona na lat sześć; jedynie tylko statut miasta Krakowa postanawia, iż prezydent może być wybrany nie tylko z pośród radców miejskich, lecz wogóle z pośród tych, którzy mają w mieście prawo wybieralności na radców miejskich, więc i z poza rady, co się jednak nie zdarza. Ten prezydent, burmistrz, względnie naczelnik gminy, stoi także na czele organu wykonawczego w mieście, t. j. magistratu, względnie — w mniejszych miasteczkach — zwierzchności gminnej.

Inaczej urządzono tę kwestyę w Prusiech. Tam rada miejska wybiera z pośród członków rady przewodniczącego, który jest tylko przewodniczącym rady, oraz zastępcę tegoż. Zarząd miasta zaś oddany jest w ręce osobnego burmistrza (w największych miastach dostaje on od króla ad personam tytuł starszego burmistrza: Oberbürgermeister); tego burmistrza wybiera również rada, nie wolno go jednak wybierać z pośród radców miejskich, ani z pośród niższych urzędników magistratu. Takiego burmistrza wybiera rada na lat 12, a ewentualnie może go wybrać i dożywotnio.

A więc w Galicyi egzekutywa samorządu oddana została w ręce przewodniczącego rady, zatem jednego z pośród wybranych radców miejskich. System pruski, przeciwnie, traktuje burmistrza, jako urzędnika, tak że nie może nim zostać rajca miejski. Wyrobiła się też w Prusiech osobna kategoria niejako kandydatów na burmistrzów. Tacy kandydaci, mający fachowe studia prawniczo-administracyjne, pracują najpierw jako asesorowie (członkowie z głosem doradczym tylko) w magistratach, poczem uzyskują w jakimś mniejszym miasteczku urząd burmistrza, by wreszcie dostać powołanie do większego miasta, najpierw czasowe, a potem nieraz dożywotnie. Są to więc fachowe siły, urzędnicze, w stosunku do rady miejskiej mające znacznie większą niezależność, niż prezydenci i burmistrz galicyjscy, którzy z rady wychodzą i zwykle też od rady tej są silnie zależni.

W Galicyi zastrzeżono potrzebę zatwierdzenia wyboru dla prezydentów Krakowa i Lwowa ze względu na to, iż oni wykonywają i funkcje administracyi państwowej (na równi ze starostami), w Prusiech wogóle wszystkich burmistrzów.

W miastach Królestwa okupacyi austriackiej wprowadzono jako zasadę wybór prezydentów i 2 wiceprezydentów w 4 większych miastach, a burmistrza i zastępcy w innych

z zastrzeżeniem zatwierdzenia ze strony rządu; wyboru dokonywają rady miejskie. Może być wybrany każdy, kto ma prawo wybieralności w jednym z miast Królestwa Polskiego (więc ewentualnie z okupacji niemieckiej); jest to przepis zgoła różny od przepisów pruskich, jak galicyjskich. Celem jego oczywiście, by — jak w Prusiech — stworzyć klasę burmistrzów zawodowych, ale nie z pośród urzędników, lecz obywateli. Zasługuje też ten przepis na uwagę, czy okaże się pożytecznym; w każdym razie dla jego wypróbowania trzeba będzie dłuższego czasu. Najprawdopodobniej pozostanie bez znaczenia praktycznego, a rady z pośród siebie będą wybierać prezydentów, względnie burmistrzów. Prezydent, względnie burmistrz, według typu austriackiego przewodniczy radzie i stoi równocześnie na czele zarządu miasta, t. j. magistratu.

Przeciwnie, w okupacji niemieckiej przeprowadzono rozróżnienie burmistrzów od przewodniczących rady, jak to jest w Prusiech. Tak co do jednych, jak i drugich, zastrzeżono, iż nominuje ich rząd; czynnik wyboru został tu więc zupełnie usunięty. Również rząd nominuje po miastach drugiego burmistrza, a w Warszawie prezydenta i 2 burmistrzów, jako jego zastępców. Rząd może burmistrzowi, jak w Prusiech, dać tytuł starszego burmistrza.

Również znaczne różnice widzimy co do składu rad miejskich, które są organem wykonawczym uchwał rad miejskich, ale także i organem państwowej administracji lokalnej. W mniejszych miasteczkach Galicyi zarząd ten sprawuje zwierzchność gminna, złożona z naczelnika gminy, jego zastępcy i 2 asesorów, przez rady z pośród ich członków wybieranych. Egzekutywa należy jednak osobiście do naczelnika gminy; jego zastępcą i asesorowie są tylko jego pomocnikami, nie tworzą razem ciała kolegialnego. Inaczej w Krakowie, Lwowie i 29 większych miastach. W tych na czele zarządu stoi magistrat; składa on się we Lwowie z prezydenta, 3 wiceprezydentów i delegatów rady miejskiej, wszystkich wybieranych z rady przez radę, oraz z urzędników gminy: dyrektora i radców magistratu; w Krakowie pod przewodnictwem prezydenta z 3 wiceprezydentów, wybieranych przez radę z pośród rady, i z urzędników gminy: dyrektora i radców magistratu, w pewnych sprawach i z innych naczelników wydziałów (fizyka, naczelnika biura obrachunkowego, dyrektora budownictwa); wreszcie w innych 29 miastach z burmistrza, jego zastępcy i 3 asesorów, wybieranych przez radę z pośród rady. Magistraty w pewnych sprawach stanowią ciało kolegialne, które uchwała

większością; prezydent jednak, względnie burmistrz, wykonywa te uchwały, o ile uznaje za dobre, lecz może ich nie uwzględnić, tak że mają one tylko doraźny charakter, jak to wyraźnie też zaznacza ustawa z r. 1889.

W Prusiech każde miasto ma magistrat. Do magistratu wchodzi obok burmistrza wybierani przez radę na 6 lat drugi burmistrz i ławnicy, oraz również wybierani przez radę, ale na lat 12, urzędnicy miejscy: syndyk, radca szkolny, kasyer i t. d., zależnie od specjalnego statutu miasta. Także drugiego burmistrza i płatnych urzędników (gdyż ławnicy są bezpłatni) nie wolno wybierać z pośród radców, ani z pośród niższych urzędników miejskich. Bez głosu stanowczego, jako referenci, biorą udział w posiedzeniach magistratu t. zw. asesorowie; w małych miasteczkach składać się może magistrat tylko z burmistrza i 2 — 3 ławników, jako tegoż pomocników i zastępców, więc podobnie jak w Galicyi. W Prusiech zastrzeżono wogóle rządowi prawo zatwierdzania magistratu.

W Królestwie rząd niemiecki magistraty utworzył na wzór pruski. A więc w Warszawie w skład magistratu wchodzi: prezydent, obaj burmistrz, 12 ławników, wybranych przez radę z pośród rady lub wogóle z mających w mieście prawo głosu przy wyborach do rady, oraz urzędnicy miejscy: naczelnik milicyi, skarbnik, syndyk i kierownicy wydziałów: budowlanego, sanitarnego i szkolnego, w innych zaś miastach: burmistrz, drugi burmistrz i 4 — 10 ławników (których ma wybierać rada, ale pierwszych rząd zamianował), oraz — ale tylko o ile tego zachodzi potrzeba — urzędnicy: syndyk, skarbnik, radca szkolny i t. d. W Warszawie wyraźnie zaznaczono, iż sprawy sporne między radą a magistratem rozstrzyga rząd; magistrat stanął więc jako częściowo równouprawniona z radą władza.

W austriackiej okupacji we wszystkich miastach stworzono magistraty; w czterech większych składają się one: z prezydenta, obu wice-prezydentów, zwanych ławnikami lub — według galicyjskiej praktyki — asesorami, w innych miastach z burmistrza, zastępcy i 4 ławników czyli asesorów. Zastosowano tu więc system, przyjęty w Galicyi w ustawie z r. 1889 dla 30 większych miast, tylko ilość asesorów oznaczono.

I co do magistratów wypróbować trzeba będzie te odbiegające od siebie instytucye, sprawdzić, czy lepszy system tylko z obywateli złożonego magistratu, czy też system pruski magistratów mieszanych, do którego zbliżony w Galicyi jest ustrój magistratu lwowskiego.

Pojęcie państwowości.

Rozbudziła wojna nadzieje polskiej duszy. Przypomniała ona z całą siłą społeczeństwu polskiemu, że to nasze codzienne życie drobnych trudów i małych nadziei, nie wyczerpuje żądań i pragnień polskiej duszy, że nie wystarczy suty kęsy chleba białego, choćby z okrasą, dla zapewnienia pełnego szczęścia jednostek, że szczęście indywidualne oparte być musi o szczęście całości. Zarządzenia obcych, nie rozumiejących duszy narodu, jego pragnień i potrzeb, nieraz i niechęcią kierowane wobec tego społeczeństwa, wśród którego im przyszło rządzić, pouczyły, co znaczy własny rząd, rząd, który ze społeczeństwa wychodzi, tego społeczeństwa jest częścią istotną, jego głową, jego sercem i rękami. Zrozumiano, co to znaczy, jeśli ta głowa myśli temi kategoriami pojęć, co ogół, zrozumiano, że inaczej ciała społeczeństwa dotykają się ręce własnych władz rządowych, które nie tylko rozsądkiem zimnym, lecz i sercem się kierują. Pamiętała o tem Polska cała, że miała niegdyś własny rząd, który ją prowadził w przeszłości omal przez lat tysiąc. W wysokiej cenie były w Polsce władze Galicyi, autonomiczne czy samorządne, że to polskie były władze, choć tylko częściowe, choć ograniczone i skrępowane tak bardzo pod wieloma względami na rzecz władz centralnych. Lecz w pełni to uświadomienie wartości własnego rządu, jego nie tylko teoretycznej czy idealnej, ale i ogromnej realnej wartości dla całego życia narodu, dała wojna. I ogarnęło cały naród pragnienie, aby ten rząd mieć własny.

Własny rząd — a więc własne państwo.

Lecz gdy przyszło sformułować żądania społeczeństwa, nagle — spory powstały. I właśnie ostatnie dni przyniosły po dziennikach polemikę o to, czego społeczeństwo pragnie. Pojawili się twierdzenia, że nie o państwo chodzi, że państwo — to tylko forma, a forma to — rzecz drugorzędna. To znowu przewi-

jają się w pismach wyrażenia: niepodległość, udzielność, suwerenność, państwowość, samodzielność, przeciwstawiane sobie, a koło tych wyrazów, jako hasel, grupują się wyznawcy, o te wyrazy i hasła toczy się kampania.

Lecz co te wyrazy — znaczą? Boć jeśli polemika niema być czczą szermierką słów błyskotliwych a pustych, których nieraz jedynym rezultatem rozdrażnienie przeciwników, to trzeba wiedzieć, co się chce powiedzieć, jakie wyrazu pewnego znaczenie. A o tem zapomniał niejeden z tych, co rzucał hasła. Przeciwwstawiano sobie przecie pojęcia identyczne, tak jakby jeden wołał: „to widelec“, gdy drugi, przecząc mu, zapamiętale dowodził, że „to sztuciec“.

A przecie są książki, które o tem mówią, co te wyrazy znaczą, a kto do traktatów poważnych sięgać nie chce, ten może pouczyć się z podręcznika, encyklopedyi, czy nawet rozumowanego słownika.

Cóż to więc jest państwo? Odpowie każdy podręcznik nauki o państwie: „związek w jedną całość złączonych ludzi, osiadłych na pewnem terytoryum, podległych jednej najwyższej władzy.“ A więc: 1) lud, 2) ziemia i 3) władza najwyższa — to znamiona państwa. Od innych zrzeszeń ludzi, na pewnem terytoryum osiadłych i w pewną całość złączonych, różni państwo to, iż ta władza, która niem rządzi, jest jego najwyższą władzą, z siebie samej swoją moc rządzenia wyprowadzającą. W tej władzy państwa leży moc ustawodawania, kierowania czyli administracyi, sądenia, tworzenia siły zbrojnej.

Kto chce niepodległości, toaczy — chce państwa. Żądania więc niepodległości czy państwowości pokrywają się z sobą. Przeciwnieństwem tego jest, jeśli ludzie na pewnem terytoryum osiadli nie są podlegli własnej najwyższej władzy; a więc nie stanowi państwa prowincya, nie stanowi go departament czy gubernia i t. d., choćby taka część państwa miała przyznaną rozległą autonomię i samorząd, t. j. ustawodawczą i administracyjną odrębność. Nie jest więc państwem Galicya, nie jest państwem nawet Finlandya, nie jest niem i Chorwacya, bo brak im istotnego czynnika państwa: własnej najwyższej władzy.

Lecz państwo państwu nierówne. Państwo tworzy Rosya, Francya czy Anglia, państwami są jednak także: Bawarya, Saksonia, Prusy i t. d., złączone nadto w jedno państwo związkowe: Niemcy; państwami są poszczególne stany w Stanach Zjednoczonych Ameryki, stany niektórych państw południowej Ameryki, państwem była Bułgarya jeszcze lenna wobec Turcyi itd.

Nierówności tych państw podstawą jest to, że niewszystkie mają: suwerenność. I znowu powie nam każdy podręcznik nauki o państwie, że państwo suwerenne — to takie, którego władza jest najwyższą i niezależną, nie zna więc nad sobą żadnej wyższej władzy. Jest więc suwerennem państwem Dania czy Grecya, nie mają zaś suwerenności Bawarya lub Prusy, czy poszczególne stany, t. j. pańska Stanów północnej Ameryki, choć o tyle od Grecyi lub Danii większe obszarem, ludnością, zamożnością, siłą i t. d., Niektórzy z autorów odmawiają nawet cechy państwowości państwom, które nie mają suwerenności.

Przyjął się ten termin suwerenności w nauce wszystkich krajów. Razi on polskie ucho swoim dźwiękiem, lecz jedynie ten termin ma ścisłe znaczenie. Po polsku najlepiej jeszcze można go oddać przez termin: udzielność, który jednak nie jest przyjęty jako ścisły; z pojęciem suwerenności pokrywa się chyba pojęcie państwa niepodległego. Zgoła chwiejnym jest pojęcie samodzielności, która tak dobrze może oznaczać państwowość, jak i suwerenność. Pojęcie niezależności również nie jest całkiem jasne, raczej oddaje pojęcie suwerenności.

Przy określaniu więc dążeń polskich nie wystarcza, gdy się je chce ściśle określić, mówić o żądaniu „państwowości”. Trzeba bliżej, ściślej sprecyzować, jaka to ma być państwowość. Nie uwłacza pojęciu suwerenności unia, w jaką państwa wchodzą; suwerennemi są tak Austrya, jak Węgry. Ale państwo bez suwerenności może być bardzo ograniczone, i te ograniczenia mogą rosnać coraz dalej; z chwilą, gdy nad władzą w państwie stoi inna państwowa władza—to zawsze ta wyższa może stosunek swój do tamtej zmienić. I wie się to dobrze z historii, jak to wyższa władza swoją przewagę coraz wzmacnia, przebiega w kierunku przejścia przez siebie coraz dalszej władzy; dość wskazać na państwa związkowe Rzeszy niemieckiej, jak tracą one coraz z swoich atrybucji na rzecz cesarstwa. Chyba że państwo bez suwerenności przy sprzyjających okolicznościach usunie swoją zależność, np. zrywając stosunek lenny, jak Bułgarya w stosunku do Turcji i t. d.

Państwo bez suwerenności zbliża się do pojęcia prowincji. Mogą istnieć twory pośrednie; np. Galicya jest prowincją, ale ma niektóre cechy państwowości, jak to niedawno wykazał Dubanowicz. Prowincya, obdarzona szeroką autonomią, może nawet mieć więcej swobody wewnętrznego życia, niż pań-

stwo, które nie ma prawa suwerenności, a zostało skrepowane na korzyść tego, które ponad niem stoi. O ileż swobodniejszą w urządzaniu swego życia jest, prowincją będąca, Kanada angielska lub Australia, niż które z państw Rzeszy niemieckiej.

Pełnem jednak życiem państwowem żyje tylko suwerenne państwo, choćby unią z innem było złączone.

Nie szermujemy więc wyrazami, które treści nie mają istotnej. Kto działać chce czy pisać, ten musi mieć jasną głowę i język, nietylko prędkie, lecz i jasny, któryby jasno „powiedział wszystko, co pomyśli głowa“. I wtedy nie będą powstawać mącające jasność myśli i celów polemiki. Jasności dążeń nie zaciemniajmy niejasnością myśli i wyrazów.

21/X 1916.

Manifesty 5 listopada 1916 r.

Przypominają się słowa Matuszewica, które 28 czerwca 1812 r. rozbrzmiewały w Warszawie na sesji sejmu Księstwa Warszawskiego: „Powstaje więc Polska, co mówię, — jest już Polska“. Zawiazywała się „konfederacja generalna Królestwa Polskiego“ z frontem przeciw Rosyi, z nadzieją, że wojna powiększy granice tej wolnej Polski, jaka wówczas już istniała, że Księstwo Warszawskie stanie się jądrem, koło którego skrytalizują się w całość polskiego państwa inne ziemie, niegdyś polskie. Drzeniem serc odpowiadała Polska na okrzyk Matuszewica, wyteęzała wzrok w przyszłość.

Drzenie serc podobne muszą budzić w nas słowa manifestów z 5 listopada. Wszakże ci nasi przodkowie mieli już kawał przynajmniej wolnej Ojczyzny, przeważną część rdzennych ziem polskich obejmujący. Jakże my wobec nich byliśmy ubodzy — my, którzy nie mieliśmy ani piędzi wolnej ziemi, co prawnie polską nazwaćby się mogła! My, którzy czujemy, że w nas, jak w Anteusza, wstąpią przepotężne siły, gdy dotknąć się będziemy mogli naszej własnej wolnej polskiej ziemi, w której nam wolno było dotąd żyć jako obcym poddanym.

Nie śni już naród polski beżkresnych snów dawnych; krew doświadczeń zagłuszyła hasło: „wszystko, albo nic“. Nie rezygnując ze swoich słusznych ideałów, nasz naród umie trzeźwo, choć serce kołacze głośno w piersi, choć krew z niego do mózgu uderza — umie przecież trzeźwo od dziesiątków lat oceniać to, co się dzieje, bez zrzędnego pesymizmu, od którego wolni powinni być ci, którzy żyć chcą, ale bez przesadnego optymizmu tych, których mamia obrazy własnej wyobraźni. Umiemy więc ocenić doniosłość i wagę tego, co przyniosły manifesty monarchów państw centralnych, jak i doniosłość tego, co przyjść może — jak tak mądrze mówią manifesty — „przy wskazaniem uwzględnieniu ogólnopolitycznych stosun-

ków Europy.“ Rozumiemy, że wśród stworzonych przez bieg wypadków dla nas warunków musimy pracować bez przerwy, całą energią naszych jestestw, na dzień za dniem toczącą się coraz dalej przyszłość, oparci na tem, co — jest.

Przyniosły manifesty uroczystą, głośno i wyraźnie ogłoszoną Europie całej i Polakom w szczególności zapowiedź, iż dwaj monarchowie Niemiec i Austrii postanowili utworzyć na ziemiach, zajętych na Rosyi, państwo polskie jako państwo udzielne, z własną dynastją, nie połączone więc unią z żadnem państwem, państwo, które stosownie do ducha czasu i stosownie do tych umiłowań prawnych, jakie polskiemu wrodzone narodowi, ma być konstytucyjną monarchją. Wyraźnie zaznaczyły manifesty, iż państwo to własną swoją mieć będzie armię, armię narodową, więc z polską komendą, wspólnemu zaś porozumieniu zastrzegły „organizację, wyszkolenie i kierownictwo tej armii.“ Wyraźnie też zastrzegły państwa centralne uregulowanie granic państwa, które utworzyć zamierzają.

To jest treść manifestów. Zapowiedź to utworzenia państwa — nie jego utworzenie, gdyż o niem w czasie wojny, gdy huk grzmi armat, nie może być mowy. Nie utworzył Napoleon Księstwa Warszawskiego, gdy ziemie polskie w swej już miał władzy, dopóki tylżyckie umowy nie przyznały mu tych terytoriów; nie utworzył Królestwa Kongresowego Aleksander I, aż zostały zawarte wiedeńskie traktaty. Zapowiedź uroczysta utworzenia państwa polskiego — to częściowe zdarcie zasłony z sfinksa przyszłości przed oczami polaków i Europy. Dwu monarchów dwu państw rozbiorowych, przejętych „silną wiarą w ostateczne zwycięstwo ich“, oświadczyło, jaki ma być podług ich zamierzeń i woli los tych ziem przez nich zdobytych. Usunęły manifesty obawy podziału Królestwa, nie autonomię jakąś nieokreśloną przyrzekły jego mieszkańcom, lecz byt niezależny we własnem państwie, które niezbędnym jest warunkiem dla pełnego rozwoju narodowego życia. A słowa monarchów — to ten kamień węgielny, który ma być podwaliną dla urzeczywistnienia ich raz ogłoszonej światu woli.

Przestała sprawa Polski być wewnętrznie polityczną, stała się międzynarodową, której usunąć nie zdołają jakiegokolwiek przysze wypadki.

Równocześnie ukazało się pismo odręczne Monarchy Austro-Węgier, które przyniosło zapowiedź zmiany prawno-państwowego stanowiska Galicyi. Nie chronologiczny tylko zachodzi związek między tem pismem a manifestami, ogłoszonymi w sprawie utworzenia polskiego państwa, lecz ściśle

rzeczowy, jak to pismo wyraźnie stwierdza, dwukrotnie mówiąc o powstaniu polskiego państwa. I to zapowiedź tylko, gdyż trzeba dopiero akta przygotować, które mają bliższe zawrzeć normy, ważką treścią wypełnić zasadniczą, w bardzo ogólnych tylko wyrazach ujętą zapowiedź, przeprowadzić wreszcie rzecz całą przez odpowiednie ustawodawcze czynniki. Galicya, pozostając nadal w państwowym związku z monarchią austriacką, ma dostać „prawo samodzielnego urządzania swoich spraw krajowych aż do pełnej miary tego, co z jego (t. j. kraju) przynależnością do całości państwa i z jej (t. j. Galicyi) pomyślnością się zgadza.“

Rozszerzenie autonomii Galicyi, jej wyodrębnienie w składzie monarchii austriackiej, to stary postulat polskiej polityki w Galicyi, który długą ma za sobą historię, sięga jeszcze końca XVIII wieku, projektu urządzenia Galicyi, znanego pod nazwą „Charta Leopoldina“ (1790 r.), a następnie odżył w głośniejszej rezolucyi sejmów galicyjskich z r. 1868. Ciasno i duszno było nam żyć w ramach obcych życia naszemu, które do nich dostosować się nie mogło, przy skrępowaniu ustawodawczej działalności w wielu kierunkach, gdy centralistyczna konstytucya z r. 1867 skąpe wymierzyła sejmom krajowym pole działalności, przy poddaniu naszych spraw pod obce władze centralne, naszego zwykle nie rozumiejące życia. I drobne korzyści w tym zakresie, choćby z lat ostatnich, jak określenie przez ustawę państwową w r. 1907 prawa wydawania przez sejm przepisów z dziedziny prawa karnego, policyjnego i cywilnego lub ustalenie pojęcia spraw kultury krajowej w ustawie krajowej z r. 1909, uważano za duże polityczne zwycięstwa. A teraz szczerą ręką mają Galicyi być przyznane koncesye dalsze, bardzo znaczne, jeśliby je miał organiczać — według słów cesarskiego pisma — tylko wzgląd na przynależność do monarchii i jej własną pomyślność.

Rzeczą naszych statystów, którzy w pracy tej będą mieli udział, wpływać na treść tych postanowień, które mają być w przyszłości ogłoszone, by tę pomyślność Galicyi warować. Każde rozszerzenie kompetencji ustawodawczej galicyjskiego sejmów i odrębnej administracyi kraju—to korzyść dla nas. Ale przytem przyjdą zapewne a doniosłe sprawy uregulowania finansowych stosunków, w rezolucyi z r. 1868 zgoła nie uwzględnione, przyjdą sprawy gospodarczego wyodrębnienia Galicyi, zapewnienia więc możności wszechstronnego wyzyskania jej sił ziemi i ludzkich. Niejedna zjawi się trudność, którą będzie musiała rozwiązywać jasna myśl i zręczność polityka. Trudności będą tem większe, gdy dla tak strasznie — jak to

stwierdza w serdecznych słowach pismo monarchy — zniszczonego kraju kwestya finansów i gospodarczego odrodzenia o tyle większej wymaga opieki i uwagi. Słowa monarchy, do którego zawsze z taką czcią zwracał się nasz naród w Galicyi, jego słowa, że granicą ustępstw ma być Galicyi pomyślność, wlewają otuchę, iż i w trudnościach znajdziemy zawsze tak życzliwą nam jego chęć i wolę.

8/XI 1916.

Rada Stanu.

Mówi się teraz dużo i pisze o Radzie Stanu, która ma powstać w ogłoszonym 5 listopada państwie polskim. Używa się często tego słowa — lecz, jak to się nieraz u nas dzieje, bez jasnego zrozumienia treści tego słowa. Widać to zwłaszcza z często spotykanych twierdzeń, że Rada Stanu—to rząd, z identyfikowania Rady Stanu z władzą, która prowadzi państwo, jego sprawy, na wewnątrz i zewnątrz. Może warto więc nieco poświęcić uwagi tej kwestyi, określić bliżej pojęcie Rady Stany, które obce jest zgoła społeczeństwu polskiemu w Galicyi, które i Królestwu już niewiele mówi.

Bo i Królestwo Rady Stanu oddawna nie ma. Do Polski przyszła ta instytucja z Francyi z Napoleonem; na wzór francuskiej Conseil d'état, utworzyła ją w Księstwie Warszawskim konstytucja z r. 1807. Po upadku Księstwa Warszawskiego, gdy ogłoszone zostało Królestwo Kongresowe, powołał 20 czerwca 1815 r. Aleksander I tymczasową Radę Stanu, której miejsce 24 grudnia tegoż roku zajęła nowa Rada Stanu, zorganizowana już definitywnie według przepisów konstytucyi Królestwa Polskiego z 27 listopada 1815 r. Ta Rada Stanu, nieco inaczej urządzona po powstaniu, przetrwała do r. 1841, kiedy ją zniesiono. Tak jak Rada Stanu istniała za Księstwa Warszawskiego obok władz rządowych, ministerjów, tak istniała Rada Stanu za Królestwa obok namiestnika, rady administracyjnej i komisji rządowych, które miały przed r. 1841 ministrów, a potem dyrektorów na czele. Przez lat dwadzieścia obywało się potem Królestwo bez Rady Stanu, aż ją znowu Wielopolski wskrzesił w r. 1861; krótki był jednak jej żywot, gdyż już w r. 1867 padła ona pod ciosami rosyjskich działaczy, którzy „urządzali” Królestwo, obdzierając je z własnych jego władz i instytucji. A tak Królestwo zatraciło znajomość życiową Rady Stanu, gdy jej już nie ma prawie od lat pięćdziesięciu.

Dziś wogóle w niewielu państwach spotyka się Radę Stanu. Nie ma jej Austria od r. 1867. Istnieje od r. 1817 w Prusiech, ale od wprowadzenia konstytucyi w r. 1848 straciła zgoła na znaczeniu tak, że faktycznie przestała funkcjonować. Jedynie w Rosyi Rada stanu, czyli rada państwa, jak ją się tam nazywa (gosudarstwiennyj sowiet) jeszcze wcale znaczne zachowała stanowisko.

Rada stanu potrzebna jest i bardzo pożyteczna w państwach absolutnych; w ustroju konstytucyjnym, wobec istnienia ciała parlamentarnych i odpowiedzialności ministrów, nie jest ona konieczną, a nawet może zawadzać. Szczególną doniosłość zato zyskuje rada stanu tam, gdzie chodzi o organizowanie tworzącego się państwa, gdzie jeszcze normalne władze nie objęły w pełni kierownictwa państwem, jak np. w r. 1815 było w Królestwie, jak właśnie jest tam i obecnie.

Rada stanu nie jest rządem. Jest ona przede wszystkim instytucją doradczą w ustawodawstwie; ona przygotowuje projekty do ustaw, bądź z jej własnej inicjatywy wychodzące, bądź też pod jej obrady poddawane przez władze rządowe. Ona wydaje także opinie o zarządzeniach administracyjnych, zwłaszcza zasadniczych, ważnych, które wychodzą poza ramy zwyczajnej egzekucyi przepisów prawnych. Ona wydaje opinie o budżecie, przedkładanym jej przez naczelne władze administracyjne.

To jej główne, istotne zadania. Obok tych zadań może ona mieć inne także — ale tylko może, nie musi. Tak rady stanu Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego miały przekazane sobie jeszcze liczne inne funkcje; za Księstwa rozkładała ona podatki, w ryczałtach uchwalane, na departamenty, wydawała opinie o zamknięciach rachunkowych ministerjów, o raportach ministrów z ich działalności, oraz układała uwagi o stanie kraju i jego potrzebach; nadto należały do niej i sprawy sądowe, a to: rozstrzyganie spraw kompetencyjnych między urzędami i sądami, rozstrzyganie w drugiej instancji sporów t. zw. administracyjnych, oddawanie pod sąd urzędników za przewinienia w urzędzie popełnione, wreszcie fungowała nawet jako sąd kasacyjny w sprawach cywilnych i karnych. Sądem kasacyjnym rada stanu przestała potem być za Królestwa Polskiego, przestała rozkładać podatki, lecz inne jej funkcje pozostały bez większych zmian i po roku 1815; podobnie też określił jej zadania Wielopolski, gdy radę stanu Królestwu przywracał.

Żadnych więc atrybucyi rządu nie miały te rady stanu, jak wogóle i gdzieindziej nie należało i nie należy do nich

rzządzenie, więc prowadzenie spraw dyplomatycznych, wojskowych, czy administracyjnych. Ich rzeczą też — zwyczajnie tylko wydawanie opinii, rady; decyzya zaś — rzeczą rządu.

Te uwagi wystarczyć mogą dla objaśnienia, czem ma być rada stanu w Królestwie. Ogłoszona niedawno przez rząd niemiecki ordynacya dla sejmu i rady stanu oddawała tej ostatniej: 1) wydawanie opinii na żądanie generał-gubernatora o projektach ustawodawczych; 2) stawianie wniosków w sprawach kraju dotyczących się; 3) przygotowywanie uchwał sejmu. A więc według tej ordynacji byłaby to instytucya doradcza dla generał-gubernatora przy sprawach ustawodawczych i to tylko, o ileby to uznał za potrzebne, i doradcza dla sejmu w tych nielicznych sprawach, wyłącznie finansowej natury, jakie ten sejm miał posiadać. Poza tem miałyby wyrażać jedynie życzenia co do potrzeb kraju i stawiać odpowiednie wnioski.

Całą tę ordynację uważać należy już za nie istniejącą; nie przyjęło jej społeczeństwo Królestwa, żądając: 1) utworzenia tymczasowej rady, i to przy udziale społeczeństwa, a nie nominowanej swobodnie (jak to miało być co do tymczasowej rady stanu według ordynacji), 2) powołania sejmu i 3) ustanowienia regenta, t. j. rządu. Królestwo zażądało też dla rady stanu prawa inicjatywy ustawodawczej.

Zadania takiej tymczasowej rady stanu w Królestwie tak więc sobie należy wyobrazić: Rada stanu przedewszystkiem 1) przygotowałaby powołanie sejmu, więc wypracowałaby projekt ordynacji wyborczej dla pierwszego sejmu, który miałby charakter konstytuancy, t. j. sejmu, zarządzającego państwo; 2) przygotowałaby dla przedłożenia sejmowi projekt konstytucyi i projekty długiego szeregu ustaw, któreby zorganizowały władze, sądy, wojsko i t. d.; 3) ułożyłaby projekt pierwszego budżetu; 4) rządowi Królestwa dawałaby do czasu uchwalenia konstytucyi opinie w sprawach tymczasowych urzędzeń, jak i zarządzeń administracyjnych.

Czy po zebraniu się sejmu i przyjęciu konstytucyi rada stanu, oczywiście już nie tymczasowa, istniałaby dalej — toby zależało już od konstytucji. Wobec nawału pracy, jakiego będzie wymagało organizowanie państwa: tworzenie instytucyi nowych, wydawanie szeregu ustaw i rozporządzeń, wprowadzanie w życie ich przepisów, decyzya co do zasad, w których duchu miałyby iść zarząd kraju i t. d., utworzenie stałej rady stanu, byłoby rzeczą bardzo pożądaną; obok władz rządowych miałyby ona zadań dość do spełnienia, choćby nawet propozycye od ministerjów wychodziły, by przecież po-

śpieszną robotę dokładniej rozpatrzyć, skoordynować działania różnych ministerjów pod wspólny kąt widzenia, przygotować gruntownie projekty na sejm.

Rady stanu z nominacyi wszędzie wychodziły, ale — jak powiedziano — właściwością były one państw absolutnych lub pozornie konstytucyjnych; nie przesądza to więc, iż taka rada stanu mogłaby być wybierana przez sejm, przynajmniej częściowo. Wybory wyłączne, zwłaszcza ograniczone do członków sejmu, do stałej — nie tymczasowej — rady stanu nie byłyby pożądane, gdy w radzie musiałby mieć duży głos czynnik faktowy, nie polityczny, gdy samą polityką dobrej ustawy się nie zrobi.

Ale obok rady stany z istoty ustroju państwa musi być rząd. Bez rządu rada stanu wisi w powietrzu. Bo komuż ona ma doradzać, dla kogo wydawać opinie, obmyślać projekty — jeśli nie ma rządu? A więc musi być król czy regent, który powołuje do życia naczelników wydziałów rządu państwa pod nazwą ministrów czy dyrektorów, a jeśli nie król lub regent, to musiałby być ustanowiony kolegialny rząd, złożony ewentualnie z ministrów lub jakich jeszcze innych osób (więc w rodzaju np. dawnej rady administracyjnej Królestwa Polskiego). Jasną rzeczą, iż taki tymczasowy rząd musiałby wyjść ze społeczeństwa, więc ewentualnie ze sejmu (jak to było w czasie powstania 1831/32 r.).

Raz jeszcze powtarzam: rada stanu nie jest rządem i rządu zastąpić nie może. Zaś bez rządu niema państwa, gdy na nie składa się: 1) terytorjum, 2) ludność i — 3) rząd, jako władza najwyższa.

Teoretyczne to tylko uwagi, nie — polityczne. Ale trzeba się liczyć z konsekwencją życia, która silniejszą jest, niż chęci i zamiary ludzkie. Taką wewnętrzną konsekwencją silną, potężną, ma taki wielki twór ducha ludzkiego, jak państwo. Jeśli się tę konsekwencję państwowego życia widzi jasno, to nie-trudno powiedzieć, jaki być musi z natury rzeczy bieg spraw, które ta natura rzeczy swą potężną siłą konsekwencji naprzód prowadzi.

* * *

Telegramy przyniosły tekst statutu Rady stanu Królestwa Polskiego, nowo ogłoszonego. Nowy ten statut zastąpić ma przepisy poprzedniego statutu z połowy listopada, który zawierał także przepisy i o sejmie; i te przepisy zostały już cofnięte, jak widać z nowego statutu, który radzie stanu poleca przygotowanie projektu ustawy o przyszłym sejmie.

Różnice postanowień nowych, w porównaniu z poprzednimi, są bardzo znaczne. Gdy też poprzedni statut ogłoszony był przez generał-gubernatora warszawskiego, nowy został ogłoszony „z najwyższego rozkazu” obu monarchów: cesarza Austrii i cesarza Niemiec. Gdy poprzedni miał znaczenie tylko dla okupacji niemieckiej, a zapowiedziane było wydanie odpowiednich postanowień dla okupacji austriackiej, ten nowy statut tyczy się obu okupacji i równocześnie został opublikowany w Warszawie i w Lublinie z podpisem obu generał-gubernatorów.

Jak poprzedni, tak i ten statut przewiduje utworzenie na razie tymczasowej rady stanu z nominacji, a później już stałej z wyborów. Nie zawiera jednak ordynacya przepisów o tych wyborach, jak to poprzednia czyniła, lecz zostawia je „odrębnemu porozumieniu”. Kiedy ta stała rada ma być powołana do życia, ordynacya nie określa; liczy się widocznie z tem, że taka rada niedługo powstanie, gdyż, oczywiście, mogłaby istnieć tylko do chwili nadania Królestwu konstytucyi, która zadecyduje, o ile w przyszłości rada stanu się utrzyma i jaki będzie jej skład.

Tymczasowa rada stanu będzie nominowana; gdy jednakże poprzedni statut nie zawierał przepisu, kto będzie nominował, oraz nominacyę zostawiał z osobna każdemu z rządów okupacyjnych, według tej nowej ordynacyi nastąpi nominacya wszystkich członków rady wspólnie przez oba rządy, t. j. generał-gubernatorów, i to „na podstawie najwyższego rozkazu” obu monarchów, Niemiec i Austrii.

Liczbę członków rady stanu podwyższono z 20 na 25, z czego 15 przypada na niemiecką, a 10 na austriacką okupacyę. W przeciwstawieniu do poprzedniego statutu, który zostawiał zupełną swobodę w nominacji członków rady, nowa ordynacya wiąże, ale tylko w pewnej mierze, tę nominacyę przepisem, iż mają radcami zostać ludzie „z mocy swego stanowiska powołani do reprezentowania wszystkich ziem i wszelkich kół zawodowych”.

Przewodniczącego rady stanu nie nominuje rząd okupacyjny niemiecki, jak to miało być, lecz wybiera go rada stanu większością głosów, jak i jego zastępcę. Przewodniczący ten dostał tytuł nie prezesa rady stanu, lecz marszałka koronnego. Właściwszą było rzeczą utrzymać tytuł prezesa w myśl tradycyi Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Ordynacya przewiduje wybór wydziału wykonawczego rady, czego nie było w poprzednim projekcie. Bliższych przepisów o tym wydziale niema; widocznie zostawia to statut regulaminowi,

który ma rada dla siebie uchwalić. Radzie już w statucie przyznane zostało prawo, iż jej większość może żądać zwołania posiedzenia rady. Językiem urzędowym rady jest język polski—z wyjątkiem co do przemów komisarzy obu rządów.

Do rady wysyłają bowiem obaj generał-gubernatorowie każdy jednego komisarza i dwu zastępców, a innych przedstawicieli w razie potrzeby, którzy mają prawo każdej chwili żądać głosu. Radę stanu jednak nie rządy okupacyjne zwołują, jak to poprzednio było postanowione, lecz marszałek koronny, a tylko na pierwsze posiedzenie, gdy niema jeszcze marszałka, zaproszą radców stanu obaj komisarze. Komisarze, jak i inni przedstawiciele rządów okupacyjnych, mają prawo mówić także po niemiecku; mogą więc mówić po polsku; a odpadł przepis poprzedniej ordynacyi, iż na ich żądanie należy tłumaczyć mowy radców na język niemiecki.

Najważniejszą rzeczą jest oczywiście kompetencya rady stanu. Kompetencya ta została rozszerzona poza ciasne ramy, jakie jej poprzedni wyznaczał statut. Zwyczajnie rada stanu jest przede wszystkim ciałem doradczym w ustawodawstwie. Tę atrybucję przyznano radzie stanu w nieco szerszych granicach, niż poprzednio, Rada stanu ma: 1) wypracować projekt ustawy o sejmie Królestwa i dawać opinię — jak to już poprzedni statut przewidywał—o innych ustawach, co do których rządy okupacyjne, lub jeden z nich, zwrócą się do niej o taką opinię. A więc rządy okupacyjne projekty takie same będą układać, mogą same je bez pytania się rady wprowadzać w życie, a tylko, o ile zechcą, przedłożyć je radzie, której opinią nie są wiązane. Projekt ordynacyi sejmowej oczywiście zyska moc dopiero po zatwierdzeniu jej przez oba rządy. Statut przyznał radzie stanu przedstawianie obu rządów z własnej inicjatywy wniosków i projektów w sprawach krajowych, a więc tak ustawodawczych, jak i co do zarządu wogóle kraju. Zastępuje tem rada stanu niejako nie istniejący sejm, ma być wyrazem życzeń społeczeństwa, czem będzie, o ile będzie reprezentowała rzeczywistość jego ogół.

Radzie stanu przekazane zostało przygotowanie urządzeń polskiej administracyi państwowej. Tekst polski nie dość jest jasny, o co tu chodzi. Czy o konstytucję? Z wyrazów, zdaje się, że nie. A jednak ustrój tej administracyi przecież na konstytucyi musi się oprzeć. Więc o przygotowanie ciała urzędniczego? Ale słowo: „urządzenia“ ma szersze znaczenie.

Różnież nie dość jasny jest przepis, iż rada stanu ma współdziałać z naczelnym komendantem wojskowym mocarstw sprzymierzonych w tworzeniu wojska polskiego. To współ-

działanie może polegać na opracowywaniu projektów co do tworzenia i organizacyi wojska, ale może wypełnić się także treścią szerszą. O utworzeniu osobnego departamentu wojskowego statut sam nie mówi, uchwały musiałyby należeć więc do całej rady, gdyby departamenty, jako przygotowawcze ciała, powołał do życia regulamin, który sobie rada ma uchwalić.

Poprzedni statut, cofnięty, przyznawał radzie obok wydawania opinii co do projektów ustaw na żądanie rządów pewne atrybucye gospodarcze, a to szafunek kilku specjalnie oddanymi do dyspozycyi funduszami. Te sprawy w ciaśniej-szej mierze przyznano obecnej radzie, bo tylko co do szkód wojennych i gospodarczego ożywienia kraju, ale zato z mocą wydawania postanowień w tych sprawach, z zastrzeżeniem jednak zatwierdzania uchwał dla rządów każdej okupacyi z osobna co do jej terytorjum. Taka uchwała całej rady mogłaby więc wejść w życie w jednej okupacyi, której rząd zgodziłby się na nią, a nie mieć zastosowania w drugiej w razie odmowy sankcyi ze strony jej rządu. Potrzebne środki czerpać ma rada z funduszków, jakie obie administracye oddadzą jej do dyspozycyi, z dodatków do podatków, które może uchwalić, albo z pożyczki, którąby zaciągnęła.

Takie są przepisy, które ma treścią wypełnić życie. Nie ulega wątpliwości, iż w stosunku do poprzedniego statutu ten nowy nieco lepiej odpowiadać może życzeniom społeczeństwa w Królestwie. Rada stanu pozostaje częściowo w tych granicach kompetencyi, jakie zwykle rady stanu miewają—poza te granice wychodzą jednak prawa jej co do uchwały podatków i zaciągania pożyczek, w zasadzie należące wszędzie do sejmu. Na razie jest ona radą — dla rządu dwoistego, złożonego z dwu generał-gubernatorów, co mogłoby nastęrczać trudności w praktycznem przeprowadzeniu. Rządem rada stanu nie jest i według tej ordynacyi. A podkreślić to należy, iż decyzya we wszystkich tych sprawach jest dla rządu zastrzeżona, więc — na razie przynajmniej, a niewiadomo na jak długo — dla rządu, który przedstawiają dwaj równorzędni generał-gubernatorowie obu mocarstw, w prawach swoich w stosunku do rady stanu — w przeciwieństwie do przepisów poprzedniego statutu — zupełnie na równi postawieni.

* * *

Dziwny obraz przedstawia polemika o Radę stanu dzienników Królestwa, w której bardzo żywy udział biorą także i niektóre dzienniki krakowskie.

W Królestwie odróżnić można obecnie trzy ugrupowania: prawicę, która grupuje się w „kole międzypartyjnym“, lewicę, którą tworzy C. K. N., i środek, do którego należy kilka stronnictw, bliskich poglądom N. K. N. i popieranych przez jego organa, t. j. właściwie zmniejszonego N. K. N., gdy Polska Partya Socjalistyczna przeszła do C. K. N. i zawzięcie zwalcza swoich dawnych sojuszników.

Do zatarcia jasności ugrupowań politycznych Królestwa przyczynia się i to, że lewica i środek, choć zwalczają się silnie, przecież weszły do Rady narodowej i oświadczają się za udziałem w Radzie stanu, gdy od obu rad—na razie przynajmniej — zdala trzyma się prawica; przyczynia się i to, że program lewicy w dużej mierze pokrywa się z programem prawicy i nawet—jak donoszą niektóre dzienniki w Krakowie i Lublinie—toczą się rokowania między temi najdalej od siebie stojącemi grupami. Prawica w obszernym komunikacie nie odmawia też pod pewnymi warunkami wzięcia udziału w Radzie stanu.

O cóż więc idzie spór, i to taki namiętny, nie przebiegający w słowach, w insynuacjach, doprawdy gorszący jadowitością, gdy przecież każde ze stronnictw wie, że samo swej woli nie przeprowadzi, że chodzi o to, by znaleźć tę wypadkową, którą ma iść cały naród? O cóż idzie spór, gdy wszystkie trzy wielkie grupy zgodnie twierdzą, że trzeba koniecznie rządu dla tego ogłoszonego państwa polskiego, gdy godzą się w zasadzie na armię środek i lewica, a prawica nie odrzuca a limine kwestyi armii.

Oto cały spór sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: czy Rada stanu jest rządem, czy nie jest. Grupa środkowa twierdzi, że Rada stanu—to rząd, a więc, że do formowania armii już można i należy przystępować, gdy tamte dwie inne grupy twierdzą, że Rada stanu nie jest rządem i od utworzenia rządu uzależniają werbunek. Pierwszego z tych twierdzeń bronią także w obszernych artykułach dwa krakowskie dzienniki.

Doprawdy, biedne to nasze społeczeństwo, gdy kwestye tak jasne mogą być przedmiotem sporów i mieć pogląd na działalność polityczną. Jeśli zgoda na to, że armia bez rządu pomyśleć się nie da—przecież nawet obecnie w Grecyi najpierw powstał pozorny rząd Venizelosa, który dopiero stworzył armię—toż przecież nie powinno nastrożać trudności rozwiązanie takiej kwestyi, jak rozbiór istoty prawnej Rady stanu, czy ona ma cechy rządu. A jednak! Ale papier jest cierpliwy, a czytelnik niewyszkolony w prawie publicznem, gdy swego

własnego prawa nie mieliśmy wiek cały, miast znaleźć wyjaśnienie w dzienniku, wyczytuje w różnych organach wprost sprzeczne twierdzenia o jednej i tej samej rzeczy.

Do tej kwestyi jeszcze trzeba wrócić.

Rada stanu, według nauki o państwie, nie jest rządem; stanowi ona ciało doradcze w kwestyach zwłaszcza ustawodawstwa, ale także i administracyi. Tak nauka pojmuje radę stanu, takie stanowisko miały i mają te rady stany, które istniały lub istnieją, także te, które miało Księstwo Warszawskie i Królestwo Kongresowe. Przecież nauka niemiecka o państwie wysoko, bardzo wysoko stoi, pojęcia prawne bardzo ściśle precyzuje; czyż więc gdyby tworzone rząd tymczasowy, nadano mu nazwę — nie rządu, ale rady stanu? Poco? Czy z nieznajomości terminów prawniczych? Chyba tego nikt Niemcom nie zarzuci. Więc, by pomniejszyć znaczenie aktywne tego rządu? Chyba takiego celu nikt też nie będzie podejrzewał.

Więc jeśli się twierdzi, że rada stanu — to rząd, to chyba przyjaćby należało, iż tej instytucyi nadano przecież przynajmniej częściowo atrybucyę rządu, że więc jest jakąś mieszaną instytucją.

Na tem stanowisku stanął autor jednego z wspomnianych artykułów, że rada stanu jest częściowo rządem, także i autor drugiego artykułu, który jednak, lepiej obeznany z terminami prawa publicznego, sam widać nie wierząc w to, co głosi, mówi, że rząd — to rada stanu, albo regent, gdy przecież rada a regent to różne zgoła rzeczy.

Najszerzej tę rzecz rozprowadza artykuł jednego z pism warszawskich, najdalej idący, najbardziej bałamutny, a kończący się taką konkluzją:

„W ten sposób, nowy ustrój składa się z następujących zasadniczych organów:

Organ prawodawczy jeden — rada stanu.

Organa inicjatywy dwa — rada stanu i komisarze okupacyi.

Organa wykonawcze dwa: komisya wykonawcza rady stanu i władze okupacyjne.“

Pierwszy z tych organów nazywa artykuł także „rządem ustawodawczym“ nad tym rządem, to jest radą stanu; jest to „zwierzchność w formie rządów okupacyjnych“, do której należy „aprobata czyli zatwierdzanie praw przez radę powziętych“.

Autor artykułu odkrył nowy organ: „organ inicjatywy“. Do tego czasu nauka o państwie wiedziała tylko o prawie inicjatywy, służącym pewnym organom państwa. W ten spo-

sób autor, sam siebie sugestyonując stworzeniem nowego organu „inicjatywy“, przyznał radzie stanu wyłącznie atrybucje ustawodawcze, co sprzeciwia się wyraźnie ordynacyi o radzie stanu, która przekazuje radzie jedynie przygotowanie projektu o sejmie, a sobie zachowuje prawo wydawania ustaw, co do których może — ale nie musi — pytać radę o opinię. Rada stanu może wnioski stawiać, lecz nigdzie nie jest powiedziane, że władze okupacyjne mogą je zatwierdzać bez zmian. A dla dopełnienia tych konfuzji autor artykułu nazywa radę stanu „rządem ustawodawczym“, zaś jej komisję wykonawczą oznacza jako „organ wykonawczy“. Do tego czasu zawsze i wszędzie mówiło się o 1) władzy ustawodawczej, 2) władzy rządowej i 3) władzy sądowej; nikt jeszcze nie słyszał o „rządzie ustawodawczym“, gdy rząd co innego, a co innego władza ustawodawcza. A wobec tego znowu jakimże cudem, jeśli rada stanu byłaby władzą ustawodawczą, jej „komisya wykonawcza“ (którą zresztą dopiero może utworzyć) staje się „organem wykonawczym“, więc organem rządu?

A przecież ordynacya jasno postanawia — w myśl teorii — że rada stanu przygotowuje projekty, więc jest ciałem doradczem w ustawodawstwie, ewentualnie także w administracyi, ale rząd, który jedynie o projektach ustawodawczych decyduje, który też jedynie ma w swoich rękach egzekutywę, jedynie ma niższe władze sobie podległe, zgoła od rady stanu niezależne, ten rząd stanowią, według ordynacyi, jedynie i wyłącznie obaj generał-gubernatorowie.

Nie potrzeba chyba już dodawać, czy rada stanu jest rządem. Jasną to rzeczą dla każdego, który czytać potrafi po prostu ordynację i chce rozumieć tak jej przepisy, jak one jasno zupełnie brzmią zgodnie z przyjętem znaczeniem terminów prawnych, a nie wkłada w nie swoich własnych myśli czy żądań, obcych zupełnie tekstowi ustawy.

* * *

W jednym z krakowskich pism pojawiło się obszerne streszczenie projektu regulaminu dla mającej ukonstytuować się w tych dniach w Warszawie tymczasowej Rady stanu Królestwa Polskiego. Jest to tylko projekt — i to projekt, jak dotąd, prywatny, przygotowany przez jednego z prawników warszawskich; że jednak powstał w porozumieniu z pewną częścią przyszłych radców stanu, zapewne będzie przedstawiony do uchwalenia Radzie stanu, która, według ordynacyi, powinna taki regulamin ułożyć. Obowiązywać jednak

zacznie on dopiero wtedy, jeśli po przyjęciu go przez Radę stanu uzyska zatwierdzenie ze strony obu władz okupacyjnych. Z tem się więc liczyć należy, iż jest to projekt jeszcze daleki od wejścia w moc prawną, może uleść niejednej zmianie; z tem trzeba się liczyć tembardziej, iż szereg w nim jest zawarty postanowień, co do których można mieć wątpliwości, czy uzyskają ostateczne uznanie.

Projekt przewiduje organizację niesłychanie skomplikowaną; a przecież rzeczą w ustroju zawsze jest pożądaną, by instytucje były, o ile możliwości, proste i jasne, gdyż inaczej przychodzi do niejasności kompetencji, więc do tarć, tak zawsze dla funkcjonowania maszyny państwowej szkodliwych; tembardziej zaś taka sztuczność konstrukcji szkodliwą być może przy instytucji tymczasowej tylko, która powinna działać szybko, by, spełniwszy zadania, ustąpić miejsca instytucjom stałym. A już samo zorganizowanie takiej Rady stanu zabierze sporo czasu. Skąd się te komplikacje ustroju Rady wzięły, wskaże rozbiór przepisów projektu.

Rada stanu zbierać się będzie—według tego projektu regulaminu—na ogólnem zebraniu w pełnej liczbie 25 członków pod przewodnictwem jednego z nich, na marszałka koronnego przez wybór powołanego. To ogólne zebranie rozstrzygać będzie o przyjęciu projektów ustaw i rozporządzeń, mających ogólny charakter, oraz o zasadniczych sprawach z zakresu zarządu krajem, tak wojskowych, jak cywilnych. W zasadzie sprawy, przychodzące na Radę, powinny być przygotowane przez wydział wykonawczy lub komitet wojskowy; mogą być jednak brane pod obrady i uchwalane wnioski bez tego przygotowania, jeśli Rada stanu sprawę uzna za nagłą. Do uchwał potrzeba w zasadzie prostej większości głosów, zaś specjalnie większości dwu trzecich do uchwały projektu o sejmie nadzwyczajnym i projektu konstytucyi. Oczywiście, iż wszelkie te uchwały w myśl ordynacji Rady stanu wymagać będą do ważności zatwierdzenia ze strony obu rządów okupacyjnych.

W Radzie stanu istnieje jednak szereg rozmaitych jeszcze ciał: 1) wydział wykonawczy, złożony z 7 osób, t. j. marszałka koronnego i 6 dyrektorów departamentów cywilnych (więc bez dyrektora departamentu wojskowego), wybieranych przez Radę stanu z swego grona; 2) również pod przewodnictwem marszałka komitet wojskowy, co do którego organizacji na razie jeszcze się nie porozumiano, z tym wyjątkiem, iż ma do niego wejść trzech wyższych oficerów Legionów Polskich, wyznaczonych przez ich komendę; 3) siedmiu

departamentów, a to: a) skarbu, b) spraw wewnętrznych, c) ekonomii i dobrobytu publicznego, d) sprawiedliwości, e) wyznań i oświecenia publicznego, f) spraw ogólnych i g) wojny, z radcami stanu jako dyrektorami departamentów na czele, wybieranymi przez Radę; 4) sekcye, na które dzieli się departamenty, z naczelnikami sekcji; 5) rady departamentowe, a to jako ciała doradcze, bez wątpienia z osób z poza Rady ze społeczeństwa zaproszonych, w liczbie ośmiu rad, gdyż departament wyznań i oświecenia publicznego będzie miał dwie rady (osobną dla spraw wyznaniowych, osobną dla spraw oświatowych), zresztą każdy departament jedną dla siebie; 6) komisye ustawodawcze, składane z osób także z poza Rady dla przygotowywania projektów ustawodawczych, wśród nich specjalna komisya dla przygotowania projektów sejmu nadzwyczajnego i konstytucyi, składająca się z 12 osób pod przewodnictwem marszałka koronnego, względnie, jako jego zastępcy, dyrektora departamentu spraw ogólnych; 7) komisye przygotowawcze w radach departamentowych.

Chyba że samo wyliczenie wskazuje, iż tych ciał za wiele.

Ordynacya Rady stanu, w której obrębie—rzecz jasna—regulamin musi się mieścić, oddaje Radzie stanu przygotowywanie projektów ustaw, i to nie wszystkich. O ile chodzi więc o te projekty, to taką mają one iść drogą: przygotowują je departamenty (względnie poprzednio sekcye) i albo wnoszą do wydziału wykonawczego, względnie komitetu wojskowego, albo—z polecenia wydziału wykonawczego lub komitetu wojskowego—oddają pod obradę rad departamentowych, te zaś mogą oddać je znowu, gdy wymagają szczególnych studyów, pod obrady komisji przygotowawczych. Ważne projekty ustaw może Rada stanu wprost powierzyć (w streszczeniu regulaminu nie jest to jasne) komisjom ustawodawczym, musi zaś oddać takiej specjalnej komisji sprawę projektów ustaw o sejmie i konstytucyi. W ten sposób przygotowane projekty wnoszą departamenty do wydziału wykonawczego, a specjalnie wojskowe do komitetu wojskowego, te zaś dopiero wnoszą je na ogólne zebranie Rady stanu. Ciężka to machina!

Zwraca uwagę, iż komitet wojskowy stoi obok i na równi z komitetem wykonawczym, który w sprawy wojskowe zgół się nie może mieszać, a nawet dyrektora departamentu wojskowego nie liczy do swego grona.

Ale na tem nie ogranicza projekt regulaminu działalności tymczasowej Rady stanu—przyznaje on jej jeszcze inne atrybucye. Przejdźmy te postanowienia. A więc—marszałek ko-

ronny ma być do czasu wyboru panującego lub regenta zwierzchnim przedstawicielem polskiej władzy państwowej, reprezentującym ją tak na zewnątrz, jak i na wewnątrz państwa. Wydział wykonawczy rozstrzygać ma samoistnie w przedmiotach bezpośredniej akcji organizacyjnej i administracyjnej. Departamenty mają prowadzić zarząd odpowiednich działów służby publicznej, w szczególności departament t. zw. ogólny ma przygotowywać ogólne interesy publiczne, dotyczące zasadniczych podstaw organizacji państwa polskiego i określenia jego granic, a także stosunku z państwami centralnemi i innemi sprzymierzonymi. Wreszcie wydział wykonawczy mianuje po powiatach i większych miastach komisarzy miejscowych, którzy mają być reprezentantami polskiej władzy państwowej w powiecie lub mieście, pośrednikami między ludnością miejscową i Radą stanu, porozumiewać się z miejscowymi przedstawicielami władz okupacyjnych i współdziałać z nimi w szczególności celem przygotowania objęcia miejscowej służby publicznej.

Te w ostatnim ustępie wyliczone atrybucye Rady stanu i jej organów przechodzą już granice tej kompetencji, jaką Radzie stanu wykreśla jej ordynacya; gdyby te przepisy używały zatwierdzenie rządów okupacyjnych, nadałyby one w pewnej mierze — ale tylko w pewnej mierze — Radzie stanu charakter władzy rządowej, gdyż bez możności egzekucyi uchwał, oraz z dalszem zastrzeżeniem, że przecie wszelkie uchwały Rady stanu wymagają — według ordynacyi — zatwierdzenia rządów okupacyjnych, które jedynie też w swoich rękach mają właściwy zarząd i same tylko mają w moc egzekucyi uposażone władze niższe, na obszarze Królestwa ustanowione. Zgoła więc błędem, polegającym tylko na nieznamomości istoty rzeczy, jest twierdzenie, że departamenty: „słowem mają to zadanie, co ministerya w państwach nowożytnie zbudowanych“, gdy ministerya są wszędzie władzą administracyjną, mającą moc wprowadzania w życie przepisów, czego nie mają departamenty Rad stanu wogóle, będące tylko wydziałami, przygotowującymi sprawy na pełne zebrania Rady, czego nie mają też i według tego regulaminu departamenty tej tymczasowej Rady stanu państwa polskiego. Również zgoła błędem jest porównywanie tej Rady stanu z komisją rządzącą z r. 1806, ustanowioną przez Napoleona na ziemiach polskich, odebranych Prusom, jeszcze przed zawarciem pokoju w Tylży. Komisya rządząca, złożona z siedmiu osób kolegiałnie działających, była w pełni rządem, gdyż miała pełną władzę ustawodawczą i pełną najwyższą władzę administracyjną, wydała też

szereg ustaw, zasadniczo normujących ważne działy życia państwa (urządzała niższe władze administracyjne, sądy i t. d.), wydawała ciągle zarządzenia administracyjne, a wykonywała tę władzę przez pięciu pod nią stojących dyrektorów (jakby ministrów), przez izby administracji publicznej, utworzone po departamentach, izby powiatowe po powiatach, wreszcie burmistrzów po miastach i wójtów po wsiach, którzy wszyscy bezwzględnie komisji rządzącej słuchać musieli; obok tych władz żadnych innych władz zgoła nie było prócz wojskowych francuskich. Porównywać dotąd nie można tej tymczasowej Rady stanu — z również tymczasową Radą stanu, którą w r. 1813 dla podbitego Księstwa Warszawskiego stworzył Aleksander I, bo tamta pod nazwą Rady stanu otrzymała wcale znaczne atrybucje najwyższej władzy administracyjnej.

Zwróciłem uwagę na komplikację budowy, jaką dla Rady stanu przepisać chce omawiany projekt. Skomplikowania tego przyczyną chęć połączenia w Radzie Stanu charakteru ciała doradczego, jakim ma ona być według teorii i ordynacji, z charakterem w pewnej mierze organu administracji. Autor regulaminu wzorował się tu bez wątpienia na urządzeniach Królestwa z przed roku 1841 (t. j. z przed zniesienia Rady stanu), względnie z epoki rządów Wielopolskiego. Stamtąd wzięta nazwa: ogólne zebranie Rady stanu, a wydział wykonawczy przypomina radę administracyjną, ale nią nie jest, gdy rada administracyjna miała charakter władzy rządowej. Nadto jednak wpłótł autor projektu w regulamin przepisy, wzorowane na ustroju komisji rządowych Królestwa Polskiego, które były instytucjami administracji kraju, dzieliły się na wydziały, a miały koło siebie rozmaite rady. Rady takie przy władzach administracyjnych były zupełnie właściwe; w projekcie Rady stanu, rady departamentowe są — radami dla rady.

Jeśli miałyby Rada stanu rzeczywiście uzyskać choćby w pewnej mierze atrybucje władzy rządzącej, czego trudno przesądzać przed zatwierdzeniem projektu regulaminu przez władze okupacyjne, to chyba konstrukcją logiczniejszą, jaśniejszą, nie mącącą pojęć, bo to tylko może powodować zamieszanie i tarcia, należałoby zorganizować rząd pod nazwą właściwą, w myśl tych żądań, jakie wychodziły od społeczeństwa. Trudno spodziewać się zaś, czy potrafi funkcjonować sprawnie tak złożona machina, zwłaszcza gdy ma być tylko tymczasowa.

Ale przypominam — to tylko projekt, właściwie projekt projektu, który ma Rada stanu opracować; można mieć nadzieję, że zostanie on jeszcze ulepszony i — uproszczony.

1/XII 1916—9/1 1917.

Wartość prostoty ustroju.

Nie jest dziś prostem życie społeczne; wieki rozwoju sprawiły, iż ono w dzisiejszych państwach, zwłaszcza dużych, bogato rozwiniętych społecznie, przedstawia się jaka splot bardzo skomplikowanych stosunków. Prawo, które dla życia istnieje, tego życia społecznego jest wykwitem; musi się tedy stosować do jego treści, którą w normy ujmuje. Tyczy się to całego prawa — tyczy także i jednej jego dziedziny: prawa państwowego, które dla tego życia przepisuje normy ustrojowe. Stąd tych norm rozczłonkowanie takie obfite.

A jednak, choć rozbudowanie ustrojowe dziś wszędzie znaczne, przecież i w państwach, równie dawnych kulturą i równych sobie współczesną kulturą społeczną, zachodzą znaczne różnice w ich budowie, mimo że nieraz wspólne były pierwsze ustroju państwowego pierwiastki, jak np. w Niemczech i Francji, które kształciły się na państwie frankońskim, obejmującym niegdyś obu ich ziemie, mimo że od końca XIX wieku na ustrój państw zachodnich wpływały te same wzory: angielsko-amerykańskie, te same teorye państwowe: angielsko-francuskie, jak to było co do ustroju konstytucyjnego i samorządu.

Dwie tu myśli, dwie tradycje przeciwstawiły się sobie: germańska i romańska. Cecha państw germańskich, najwybitniejszych specjalnie: Niemiec i Anglii — wielka złożoność form ustrojowych, ich zawilgość. Inaczej tłómaczy się ona w Anglii, niż w Niemczech. W Anglii potężny duch konserwatywny nie lubił burzyć, usuwać tego, co nawet już było zbutwiałe, gdy nosiło na sobie piętno ojczystej przeszłości; stąd to utrzymywano przez wieki dawne instytucje, poprawiając je tylko przez coraz to nowe dobudówki, stąd dziś ten archaiczny wygląd jej instytucji współczesnych, z których prawie wszystkie mają metryki powstania z przed wieków. W Niemczech przypisać złożoność form należy innemu czynnikowi:

zdolności i zamiłowaniu do rozbierania pojęć, które, podobnie jak w niemieckiej filozofii, wyrażają się w niejasnem często formułowaniu myśli, tak i w prawie dochodzą do przesady w określeniach, w rozdzielaniu pojęć składowych, w budowaniu sztucznych systemów, lecz przecież dobrze rozumiały dla niemieckich umysłów.

Zgoła inny jest typ romański państwowego ustroju, w Francji najsilniej się przjawiający. Predylekcyja romańskich ludów, wychowanych w świetle jasnego słońca, patrzących na ostre kontury w czystem powietrzu południa, do jasnego, prostego formułowania myśli, także i w prawie silnie się zaznaczyła, w budowie państwowego ustroju. Cześć dla idei, dla zasady, nieraz tam do doktrynerstwa prowadzi, do wiary, że tylko ta właśnie idea, ta zasada, nie inne, zbawienie mogą przynieść ludzkości. Stąd w ustroju prawnym czystość linii, budowanie go według zasad, odrzucanie przeszłości, gdy się ją uzna za przestarzałą, szkodliwą. Stąd to tyle we Francji było konstytucyi, które tak często się zmieniały, gdy gdzieindziej raczej poprawiano dawne, a nawet na żadną jednolitą ani razu się nie zdobyto, jak w Anglii, która do dziś konstytucyę swoją skleja z drobnych ustaw, z różnych czasów, wieków nawet, pochodzących. Stąd to cecha rewolucyjności francuskiej w przeciwstawieniu do konserwatyzmu angielskiego.

Lecz warto dać przykłady, które lepiej tę kwestyę objaśnią.

Jak skomplikowany jest ustrój zarządu w Prusiech, specjalnie w Poznańskiem, gdzie jest jeden szczebel w dziedzinie administracyjnej więcej, niż w innych prowincjach państwa pruskiego, unaoczni zestawienie władz rządowych i samorządnych w kierunku od dołu do góry,

A więc są tam władzami rządowymi:

1) w gminach miejskich: burmistrz, a w największych miastach także wydział miejski (który — wbrew u nas rozpowszechnionym poglądom — jest władzą rządową, nie samorządną), w gminach wiejskich naczelnik gminy, w obszarach dworskich właściciel lub jego zastępca;

2) w dystrykcie: komisarz dystryktowy;

3) w powiecie: landrat;

4) w obwodzie: prezydent, rejencya i wydział obwodowy (będący częściowo władzą administracyjną, częściowo sądem administracyjnym);

5) w prowincyi: starszy prezes i rada prowincjonalna (odpowiadająca wydziałowi obwodowemu);

6) w państwie: ministrowie.

Tej hierarchii władz rządowych odpowiada częściowo

hierarchia władz samorządnych, silnie zresztą połączonych z władzami rządowymi. Są tu:

1) w gminach: rada miejska, magistrat i burmistrz; w gminach wiejskich: zebranie gminne (w najmniejszych) lub (zwykle) rada gminna, zarząd i naczelnik gminy;

2) w powiatach: sejmik i wydział powiatowy;

3) w prowincyi: sejm prowincjonalny, wydział prowincjonalny i dyrektoryum.

Przeciwstawić temu można system władz w Księstwie Warszawskim, który ściśle oparty był na wzorach francuskich, władz, do dziś we Francyi jeszcze istniejących, tylko w niej pełniejszych, ale równie prostych. Władzę sprawowali:

1) w gminach miejskich—mer (prezydent lub burmistrz); w wiejskich — wójt, ewentualnie po wsiach poszczególnych — sołtys;

2) w powiatach—podprefekt;

3) w departamentach—prefekt;

4) w państwie—ministrowie.

Odpowiadały temu urządzeniu władze samorządne:

1) w gminach — rada miejska, względnie wiejska (tych ostatnich zresztą nie zorganizowano) i mer względnie wójt;

2) w powiatach—rada powiatowa;

3) w departamentach—rada departamentowa.

Rady powiatowe jednak i departamentowe miały zresztą nadzwyczaj skąpo określone zadania, samorząd miast też bardzo był skrzępowany.

Jaki rodzaj ustroju władz odpowiada polskiemu duchowi, jakiego życzyłyby sobie należało dla polskiego państwa?

W dawnej Polsce widać takie same konserwatywne tendencje, jakie do dziś właściwe są Anglii. Przeistaczano urzędy, byle nowych nie tworzyć; jeśli tworzone nowe, dawnych nie znoszono. Tak np. z XI wieku pochodzący palatini (później wojewodami zwani po polsku) i kasztelani utrzymali się do upadku państwa, choć zgoła stracili dawne funkcje, jeszcze w XIV stuleciu. Gdy stworzono za Sanisława Augusta nowe naczelne władze administracyi: komisye wielkie, potem radę nieustającą, wreszcie w r. 1791 jako radę ministrów straż, nie usunięto marszałków, kanclerzy, podskarbich, hetmanów i t. d., ale połączono te dawne z XIV i XV stulecia, a nawet, jak kanclerz, z XI wieku pochodzące urzędy z nowo powstałemi władzami, mimo trudności, jakie się nastroczały, zachowując zawilość, choć ona niekorzystnie zaznaczała się w ustroju. I dziś tych konserwatywnych upodobań nie brak w Polsce. Jakże byłoby przykro odczuć rzecz w Królestwie, gdyby

chciano zmienić ustroj gminny, usunąć sądy gminne, zastąpić nową hipoteką tę istniejącą, którą prawie każdy prawnik w Królestwie uważa za „najlepszą w Europie“, lub pozbawić mocy obowiązującej kodeks Napoleona.

I słuszną to, by instytucji, z którą społeczeństwo się żyło, nie usuwać przez inne, jeśli one spełniać mogą odpowiednio swoje zadania; należy je, o ile potrzeba wymaga, ulepszyć, poprawić, ale w zasadzie zostawić. Tak powinna pozostać w Królestwie gmina, tylko uzupełniona przez radę gminną, której brak, mniej więcej taką, jaką projektował Wielopolski, gdy zamierzał stworzyć wiejski samorząd. Powinny pozostać sądy gminne, które taką doskonałą okazały się instytucją, a może wogóle sądy, które wprowadził rząd rosyjski w r. 1876, wzorując je na doskonałym ustroju sądowym francuskim; tylko, oczywiście, trzeba będzie poprawić to, co Rosya specjalnie w Królestwie w ustroju tych sądów popsuka, dodać sądy przysięgłych (czy ewentualnie ławnicze) i sąd najwyższy. Pozostawić w zasadzie należałoby kodeks Napoleona czy ustawy hipoteczne z r. 1818 i 1825 i t. d.

Ale niewiele jest w Królestwie takich instytucji, które będą się mogły nadal ostać. Inne trzeba będzie inaczej urządzić, to znów tworzyć szereg instytucji, których brak zgoda było za rosyjskich rządów, jak władze centralne, sejm, samorząd i t. d. I tu zachodzi pytanie, jak postępować, jakich trzymać się zasad w tem przekształcaniu instytucji, które ostać się nie mogą, czy w budowie dotąd nie istniejących.

Sądzę, że zasadą powinno być, iż trzeba dążyć w tych instytucjach do prostoty, do jasności linii ich budowy. Nie mamy ducha niemieckiego, który potrafi z sumiennością i gruntownością zorientować się w zawiłych instytucjach, zwłaszcza gdy wyrobioną ma uwagę na ścisłe przestrzeganie przepisów. Nie podobnaby naginać do tego nasze polskie umysły; przy naszym niewyrobieniu pod tym względem, gdy lat tyle ledwie prymitywne, i to niepolskie instytucje, na naszej istniały ziemi, byłaby to praca ciężka, któraby przez dziesiątki lat nie dała rezultatu, a męczyła tylko umysły i wprowadzała zamęt w sprawne funkcjonowanie władz. Przytem i na to uważać należy, iż gdzie instytucje układają się w warstwach na sobie, jedno po drugim, aż staną się liczne i nieraz zawiłe, dzieje się to w ciągu długiego czasu; wtedy społeczeństwo może do tych zawiłości przyzwyczaić się, bo ich nie odczuwa, gdy przecież po kolei przez dziesiątki lat, nieraz wieki ono do pewnych instytucji przywykło, aż nowe do nich dodano raz, drugi, trzeci, tak że za każdym razem nowości nie tak wiele wnoszono, łatwo je

było dopasować do tych przyzwyczajęń, jakie już w duszy głębokie zapuściły korzenie. Co innego — tworzyć odrazu instytucje złożone, zawile, których całość musiałby odrazu ogarniać umysł.

A więc — postulatem być winna prostota ustrojowych norm, które ma się tworzyć, przejrzystość linii, jasność rozkładu budowy, gdy chodzi o to przyszłe polskie państwo. I tak później będziemy przecież ten gmach państwowy rozbudowywać, nowe dodawać mu piętra i skrzydła. Niechże jednak w swej głównej podstawowej części będzie wielki i piękny przez swoją prostotę, by na nim ze szczerą lubością mogły patrzeć oczy polskich poddanych, i, pojmując go dobrze, w nim się rozmiłować tak, jak naród każdy w swoim państwie rozmiłować się powinien.

1/II 1917.



Spis treści:

	Str.
1. Rozbiory Polski w cyfrach	1
2. Stanowisko prawno-państwowe dzielnic Polski od 1815 do 1914 roku	7
3. Polskość Galicyi	16
4. Franciszek Józef I a Polacy w Galicyi	21
5. Królestwo i Galicya.	24
6. Wrażenia z Warszawy (maj 1915 r.).	48
7. Samorząd miast w Królestwie	62
8. Pojęcie państwowości	72
9. Manifesty z 5 listopada 1916 roku.	76
10. Rada stanu	80
11. Wartość prostoty ustroju	94



3N-1278



~~Bibl. 178736~~
4026
B-3426

